RODZINA polska

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
WARSZAWA



CZAR ZIMY

ROK XII LUTY 1938

Cena egz. 50 gr.

Z KSIĘGI PIELGRZYMA

LASKA CZARODZIEJSKA

Kto z dni dzieciństwa nie pamięta tej ślicznej bajki o lasce czarodziejskiej? Niejedno marzenie główki młodocianej zagarnęła dla siebie ta cudna laska. Niejedno serce uskrzydliła i powiodła w kraj nieopowiedzianego piękna. Kto by posiadł bowiem tę laskę, mógł za jednym nią dotknięciem przemieniać wszystkie rzeczy w złoto.

Wody rzek i jezior stawały się złotem najpłynniejszym — otchłanią złotem nalaną — góry jedną potężną bryłą złota. Można było mieszkać w złotych domach, ubierać się w złotolite szaty, mieć pełne trzosy złota, ile tylko dusza zapragnęła...

Oczy dziecka i wyobraźnia, zachłanne na wszystko to, co się świeci, nawet nie zwróciły uwagi, że wyniknąć stąd może „złote niebezpieczeństwo". Gdyby tak ubranie zimą w trzaskający mróz nagle zamieniło się w złoto! lub smaczne potrawy na suto zastawionym stole ni stąd, ni z owąd stały się zimnym, błyszczącym metalem! Mały kłopot! I bajka i dusza młoda umieją temu zaradzić... Złotem staje się tylko to, czego dotknie laska czarodziejska, a laska dotyka tego wyłącznie, czego jej właściciel chce... Nie wszystko się zatem zamienia w złoto, tylko przedmioty upatrzone, tylko upragnione! —

Jakże często dziś powracam do wizji laski czarodziejskiej! Nie wyobraźnią bynajmniej, lecz sercem i myślą... Tak by dobrze było w ubóstwo dnia i w szarzyznę stosunków ludzkich wnieść chociaż odrobinę złota! Tak by się przydała duszom ludzkim laska czarodziejska! —

Laska taka istnieje na świecie!

Istnieje? A w jakiej krainie ona rośnie, gdzie ją wyrabiają, kto ją może dostać?!

Mieć ją może każdy, bo tą laską czarodziejską jest myśl ludzka.

Weźmy dla przykładu miasto i miasteczko, albo wieś, gdzie mieszkamy. Jeśli te słowa czytać będą mieszkańcy Warszawy, niech się cofną wstecz o pół tysiąca lat i niech duchem przyjdą wtedy do Warszawy... Niestety, przyjechać wówczas do Warszawy nie będą mogli, bo za czasów króla Jagiełły jeszcze Warszawy nie było. A dziś?! —

Dzisiaj olbrzymie rojowisko domów, kamienic, pałaców osiadło na obu brzegach Wisły. Przebijają niebiosa wieżyce kościołów, przegląda się w nurtach rzeki Zamek królewski, przyćmiewają światło gwiazd nocą stołeczne lampy żarowe. Ruchliwe życie wielkiego miasta wydaje się snem, wyczarowanym za pomocą laski czarodziejskiej z pustego niegdyś pobrzeża rzeki. A któż to wyczarował Warszawę? — Laska czarodziejska myśli ludzkiej!

Podobnież powiedzieć można o każdym mieście, małym czy wielkim, o każdej wiosce, każdej chacie. Wszystkie dzieła rąk ludzkich są najpierw dziełem myśli człowieka. Cała praca wiekowa pokoleń nie jest niczym innym, jak dotykaniem szarej ziemi przez laskę czarodziejską myśli. Czego ona dotknie, to zatraca swą szarzyznę, zmienia swą wartość i staje się srebrem i złotem. Już najmniejsza myśl dziecka przemienia, choć w drobniutkiej mierze, świat otaczający. Tym więcej czyni to myśl dojrzała, myśl przetrawiona, myśl uzbrojona nauką. Myśl współczesnego nam świata — w iluż to wypadkach! — stała się zaiste, laską czarodziejską, wyprowadzającą złote dziwy!

Ale to dopiero początek. Daleko więcej dokonać może, gdy zechce, myśl ludzka, przepromieniona wiarą, rozpalona miłością Boga.

Myśl nasza, gdy pracuje w świecie, wszędzie natrafia na granice, jak ptak wolny na pręciki klatki. Wzięła rozpęd na sto kilometrów przed siebie, życie tymczasem ją zatrzymuje na dziewięćdziesiątym — stój! A przecież każdy z nas piastuje w swej świadomości zaczątek drogi w nieskończoność. Czuje tylko, że nieskończoność wymyka się spod jego władzy, że nią całą sam nie rozporządza, ale że na drogi jej wkroczyć może. Stoi przecież u jej rozstajów mocą swej duszy nieśmiertelnej.

I oto tutaj ofiaruje swą pomoc człowiekowi — wiara! Boskim swym rozmachem — dosięga Bóstwa, wszechpotężnym rzutem swych skrzydeł — ogarnia nieskończoność. Najbardziej szare i nikłe sprawy ludzkie przenosi z nizin stworzenia na wysokości Stwórcy Boga, wyzłaca je, przemienia, nieśmiertelnością przepromienia. Ziemskie rzeczy niebiańskimi czyni, doczesne — wiecznymi, ludzkie zamierzenia i dzieła przekształca w Boskie sprawy. Wszystko nasze przemienia najprawdziwiej w złoto.

Nauka Kościoła tę prawdę — nie marzenie! — krótko nazywa intencją. Myślą, oddaną dla Boga, zamiarem, przekazanym niebu.

Poruszamy się w świecie, który najczęściej nic o tym nie wie. Nie wszyscy nawet katolicy zdają sobie z tego sprawę, że posiadamy na swe usługi laskę czarodziejską wiary, która przemienia ziemię w niebo.

W chwili, gdy to piszę w prowincjonalnym miasteczku, pali się lampa naftowa na biurku. Miałbym ochotę zapalić elektrykę, ale z mojej „intencji" nic nie będzie, bo licha mieścina nie posiada elektrowni. Gdybym mieszkał i pisał w miejscowości, gdzie zaprowadzono oświetlenie elektryczne, myśl moja byłaby łatwa do urzeczywistnienia. W każdym razie musiałbym wstać, zbliżyć się do kontaktu i przekręcić go — momentalnie zalałaby pokój żywa fala światła. Gdybym jednak nie ruszył się z krzesła, tylko z miną zdobywcy Afryki rozkazywał kontaktowi, niech się sam przekręci, niech światło zapali: — „fiat lux" — pozostałbym nadal w ciemnościach.

Podobnie ma się rzecz z wiarą. Chrystus Bóg-Człowiek zainstalował na kuli ziemskiej potężną, Boską centralę światła. Rozprowadził jej przewody i umieścił wszędzie jej kontakty dla dusz ludzkich. Wystarczy jedna myśl, jeden zamiar, jedną sekundę trwająca „intencja", by rozświetlić sobie ziemię złocistą falą świateł Bóstwa. Trzeba tylko sięgnąć po kontakt, trzeba go skierować w stronę przewodu niebios i połączyć się z prądem centrali. Uskutecznia to chwila poważnej modlitwy, czyni to jedna chwilka serdecznego westchnienia do Boga, do Chrystusa, do Maryi i świętych.

List, który piszę, przekazując go intencją Stwórcy, padnie na biurko redakcyjne opromieniony blaskami Bóstwa. Świtanie dnia, które witam na kolanach, zorza wieczorna, nad którą w śpiewie dzwonów przelatuje „Anioł Pański", każda praca, każdy posiłek, naznaczone poważnie znakiem krzyża świętego, zatracą swój charakter drobiazgów i błahostek życiowych. Nabierają tętna spraw wiekuistej wagi, zapisują się dla nas w kronikach anielskich. Stają się złotem najczystszym, które nie rdzewieje...

Myślę, że byłoby dobrze w każdym domu polskim wyjąć z ukrycia czarodziejską laskę wiary. Dotknąć nią i ozłocić „wszystkie nasze dzienne sprawy".

Jan Czar.

Nie żałuj grosza na F. O. M.!!!

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
RODZINA POLSKA

ROK XII. WARSZAWA — LUTY 1938 Nr 2

DOKĄD ZDĄŻAMY?

Dokąd zdążamy? Ku szczytom, czy ku przepaści? Czy wracają czasy chaosu, czy też zbliża się cudowne przeistoczenie? „Optymizm — powiada Guglielmo Ferrero — nigdy nie był takim wrogiem pesymizmu jak obecnie. Coraz więcej zjawia się polityków, filozofów i ekonomistów, którzy widzą wszędzie straszne i ponure oznaki. Dwa uczucia zawładnęły światem: nienawiść i trwoga”...

Panoszy się wszędzie poczucie niepewności, wyczekiwanie jakiejś powtórnej katastrofy, a coraz liczniejsze rzesze na świecie ogarnia przeświadczenie, że miliony ludzi nie po to w ostatniej wojnie poległo, miliony innych nie po to wegetuje w nędzy, aby po strasznej zawierusze lat 1914 — 1918 świat wrócił do dawnych form i w niczym nie zmienił swego przedwojennego trybu...

Tęsknota za czymś nowym staje się powszechną. Słychać wołania o usprawiedliwienie śmierci milionów żołnierzy. I żądanie to jest logiczne i słuszne.

Kryzys obecny jest przede wszystkim kryzysem podstaw naszej psychiki. Redaktor czasopisma „Bataille syndycaliste” Franciszek Delaisi z nieubłaganą konsekwencją uzasadnia ostateczne nieuleczalne bankructwo dotychczasowych idei, które panowały w Europie. „A tymczasem — woła Delaisi — człowiek dzisiejszy, „człowiek z ulicy”, łaknie tego, co pewne i oczywiste, na czym mógłby oprzeć swą wiarę w lepsze jutro, w czym znalazłby pobudkę do czynów!”

Powątpiewanie paraliżuje wolę; hiperkrytycyzm tłumi siły żywotne społeczeństwa, a jednak ludzkość powojenna, rozbita na niezliczone stada sceptycznych jednostek, dusi się w atmosferze pesymizmu, uderza w ton katastrofalny. Oto np. Artur Śliwiński w pracy swej „Na przełomie dwóch epok” zadaje pytanie: „Gdzie jesteśmy?” I odpowiada: „Na ślepym torze!... Dokąd zmierzamy? — Burzliwe fale życia niosą ludzkość obecną w ciemną dal”... Zdaniem A. Śliwińskiego, zawiodło wszystko, co w rozwoju cywilizacji zdawało się być siłą życiodajną. O „entuzjastach postępu” pisze on z ironią. Szydzi ze zdobyczy techniki. Geniusz wynalazczy wydaje mu się potęgą złowrogą i niszczycielską. Ludzkość omyliła się, widząc zbawienie tam, gdzie czyha na nią zguba. Stanęliśmy nad przepaścią, w którą runiemy nieuchronnie.

Oto przykład skrajnego, przesadnego pesymizmu. Mnożą się artykuły, książki, odczyty na temat rozkładu cywilizacji współczesnej, a w nich pisze się i mówi już nie o błędach systemu gospodarczego, nie o nierozwiązalności problemów politycznych, lecz wprost o tajemnych potęgach, którym nie sposób stawić czoła.

Ludzkość uświadamia sobie potrzebę znalezienia wspólnej platformy i wspólnego języka gospodarczego, politycznego, moralnego, ale osiągnięcie takiej wspólnoty okazuje się obecnie niemożliwe wobec braku wiązadła, braku jakiegokolwiek celu powszechnego.

„Doktryn jest wiele — dowodzi autor pracy „Gingea Ere” — ale żadna z tych doktryn nie wystarcza (!), nie ogarnia całokształtu zjawisk. Świat materii skupia się, ciąży ku sobie, spaja się węzłami radia, komunikacji samolotowej, krążących kapitałów — ale świat ducha rozprzęga się coraz bardziej. Atomizacja myśli postąpiła tak daleko, że ludzie zatracili prawie zupełnie zdolność syntezy”.

Są tacy wreszcie pesymiści przesadni, którzy dziś ciągle albo wyczekują powszechnej rewolucji, albo żyją w trwodze przed nią. Twierdzą oni, że dwie złowróżbne komety świecą nad światem. Pierwsza — to zanik ideałów, zanik więzi społecznej. Druga — to przerost cywilizacji, nie dający się powstrzymać w swym pędzie ku kataklizmowi tak potężnemu, jakiego dotąd świat nie widział, wobec którego upadek dawnej Rosji jest zaledwie lekką katastrofą.

Wiemy — dowodzą oni — że na niezmiernej przestrzeni dziejów ludzkości odbył się już nie jeden upadek społeczeństwa. Wiemy o ruinie Babilonu, Egiptu, Jeruzalem, Akropolu, Kartaginy... Znajdujemy szczątki cywilizacji indyjskiej. Własnymi oczami wielu z nas oglądało niedawno tragedię upadku carskiej Rosji...

Lecz przyczyny tych katastrof historycznych leżały w przegranych wojnach, w krwawych napadach, w wewnętrznych walkach o tron czy władzę — słowem, po osłabieniu głównie fizycznym... Tak zwana zniewieściałość najczęściej w dawnych epokach powodowała ruinę społeczeństw, a co za tym idzie, ich kultur i cywilizacji...

O zniewieściałości nie ma mowy. Sport i twarde życie uczyniły z osobnika ludzkiego zwierzę silne, czujne, za-

wsze do walki gotowe, zwierzę o nerwach niezawodnych, przebiegłe i agresywne...

A jednak kataklizm przyjść musi — jak twierdzi sędzia Lindsey w swej pracy „Bunt młodzieży” — i to kataklizm nie od zewnątrz, bowiem absurdem byłby obecnie najazd na Europę lub na Stany Zjednoczone, lecz — od wewnątrz!... Brak wielkiej idei przewodniej i heroicznego patosu, na którego skrzydłach wzniosłaby się dusza ludzka ku potężnym horyzontom — oto ośrodek tragedii naszej!

Ludzie nowoczesnej cywilizacji, od góry do dołu, duszą się szarzyzną dnia, przeżuwaniem sieczki zmartwiałych komunałów... Doprawdy strach pomyśleć, co się rozpętać może na świecie, gdy w walce szukać nerwowej równowagi będą dusze zapamiętałe w męce dnia codziennego. Jesteśmy w „przedwiośniu” wybuchu sił społecznie odśrodkowych, wobec którego niczem była przeżyta wojna. Czy się z tego kataklizmu i jak na pozostałych strzępach i ruinach obecnego dorobku, odrodzi nasza cywilizacja, czy też w ogóle „zlikwidowaniu” ulegnie dotychczasowa hegemonia rasy białej — różnie na to patrzą ci przesadni pesymiści, filozofowie i mężowie stanu.

„Starszy pan ze Wschodu”, mahatma Gandhi jest zdania, że narody Zachodu jęczą w niewoli nowego bożka materializmu, pod wpływem którego marnieją w rozwoju moralnym. „Dawniej — powiada on — tylko garść wybitnych ludzi pisała wartościowe książki, dziś każdy może pisać i drukować, co mu się podoba — i w ten sposób zatruwać dusze swych braci... Dawniej ludzie pracowali na świeżym powietrzu, a każdy tyle robił, ile sam chciał — dziś męczą się tysiące ludzi w fabrykach i kopalniach, aby spełniać najniebezpieczniejsze prace na korzyść milionerów... Dawniej jedli ludzie dwa lub trzy razy dziennie jarzyny i chleb w domu pieczony; dzisiaj muszą jeść co dwie godziny, tak że im już prawie czasu nie starczy na nic innego”...

Gandhi dowodzi, że ostatnia wojna wykazała szatański charakter cywilizacji europejskiej. „Motywem wszystkich popełnionych zbrodni — mówi on — był zysk materialny. Europa przestała być chrześcijańską, ona czci Mamonę. Cywilizacja staje się pustym słowem. Celem cywilizacji tej jest jedynie dobro materialne; nie troszczy się ona bynajmniej o skarby ducha, jest piekłem dla słabych i klas pracujących i podkopuje żywotność ras. Zawali się wkrótce sama przez się”.

Przytaczamy te głosy skrajnych pesymistów o przyszłych losach naszej cywilizacji, zdając sobie sprawę, że zawarte w tych opisach wnioski są przesadne, ale że jednak charakteryzują dosadnie nastroje epoki przełomowej, jaką przeżywamy.

Pomimo jednak takich czarnych horoskopów niektórzy z prowodyrów obecnej epoki uporczywie wierzą w lepsze jutro cywilizacji... Np. słynny miliarder amerykański Henry Ford wierzy w zwycięstwo jutra. Mówi on: „Jeśli nie mylą mnie znaki, znajdujemy się w tej chwili w toku wielkiej zmiany. Odbywa się ona dokoła nas powoli i zaledwie dostrzegalna, ale z niezachwianą statecznością”.

Ford dowodzi, że wielka część tak zwanych zaburzeń, wielka część przewrotów w urządzeniach na pozór ustalonych, jest właściwie tylko zewnętrzną zapowiedzią czegoś, co zakrawa na odrodzenie. Dowodzi on dalej, wbrew powszechnym opiniom, że „walka o nagi byt jest dziś słabsza, niż to bywało dawniej... Ludzkość w swoim postępie dobiega nareszcie kresu tej epoki wytwarzania fatałaszków, a przemysł przygotowuje się do zaspokojenia prawdziwych potrzeb świata”.

Zdaje się jednak, że tym razem czcigodny milioner trochę przesadził. Niektórzy z groszorobów naszych czasów w wielkim stylu, którym najwięcej się poszczęściło, mają naturalną skłonność do przesadnego optymizmu.

Ford nie wierzy w gwałtowne rozstrzygnięcia rewolucyjne, nie widzi też, aby potęga pieniądza miała uszczęśliwić ludzkość.

— Dwa są — mówi on na świecie rodzaje ludzi niemądrych. Jednym jest milioner, wyobrażający sobie, że gromadząc pieniądze, skupia w swym ręku jakąś prawdziwą władzę — a drugim reformator bez grosza, wierzący, że gdy tylko uda mu się odebrać pieniądze jednej klasie, by dać drugiej, uleczy wszystkie bolączki świata. I jeden i drugi są na fałszywym tropie.

Ford jednak wierzy, że dobrowolne uproszczenie stopy życiowej mogłoby zapewnić ludzkości powszechny dobrobyt. „Gdybyśmy — twierdzi on — wszyscy tworzyli bogactwo tylko do granic — łatwych granic swojej twórczej zdolności, wtedy byłoby pod dostatkiem dla każdego.

I w tym amerykański entuzjasta podobny jest do znakomitego włoskiego historyka prof. Ferrero, który jest przekonany, że wyzysk kapitału runie dopiero wówczas, gdy masy zarzucą zbytek, marnotrawienie pieniędzy, zabawy nadmierne i te nałogi, do których przyuczyli ich bogacze.

„Niebezpieczeństwo dla kapitalizmu — mówi Ferrero — mogłoby powstać tylko z powodu jakiegoś potężnego ruchu ascetycznego, ogarniającego masy pod hasłem zarzucenia zbytków i nałogów, zaszczepionych ludowi w ciągu ostatnich stu lat. Wówczas blady strach padłby na kapitalistów, rozsiadających się w wyzłoconych salonach i lęk wielki, że ich fortuny w oka mgnieniu stopnieją”.

Są wreszcie tak zwani „entuzjaści postępu”, co wierzą w czarodziejską moc maszyn. Karmią się oni nadzieją na lepsze jutro, a na pytanie: dokąd zdążamy? — odpowiadają: Rozwój techniki wyzwoli człowieka i zapewni wszystkim łatwiejszą i radosną codzienną egzystencję. W ich pojęciu nędza, choroba, smutek — płyną tylko z ciemnoty, z braku wiedzy, z nieumiejętności zastosowania odpowiednich środków zaradczych, które może wskazać rozum. Im lepsze będą — w ich mniemaniu — techniczne urządzenia, tym będzie wygodniejsze życie. Im wyżej stanie wiedza, tym potężniejszą zdobędzie człowiek broń w walce z naturą.

Do tego rodzaju „entuzjastów postępu” należy u nas — między innymi — popularyzator najnowszych prądów wiedzy dr F. Burdecki. W pracy swej pt. „Babel” gloryfikuje on przyszłość techniki w taki sposób:

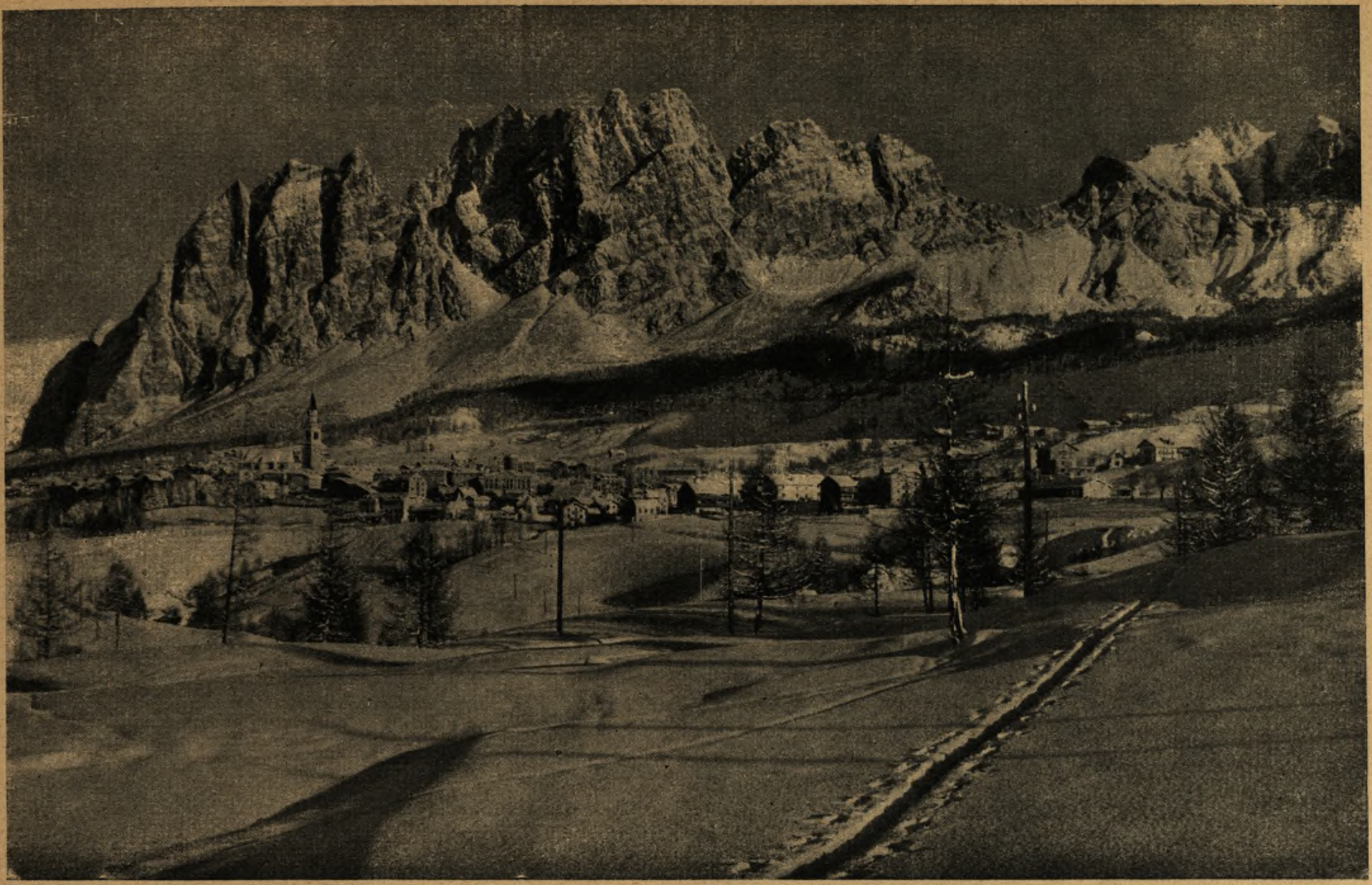
„Twórcami losu naszego będziemy my — ludzie z Babel! Nieznane nam będą nieszczęścia, ni klęski, obcą nędza i rozpacz!... Panami świata, twórcami nowej epoki będą fizycy i technicy!”...

A w tym samym czasie — odzywają się głosy zapowiadające całkiem co innego — po prostu... przekleństwo postępu. Obok logiki bowiem nadmiernego bo-

---

W związku z ogólną tendencją potanienia kredytu, P. K. O. obniża z dniem 1 stycznia 1938 roku stopę procentową, stosowaną przy skupie weksli na 4% w stosunku rocznym, ustalając równocześnie dolną granicę przy skupie akceptów również na 4%.

Jednocześnie P. K. O. z dniem 1 stycznia 1938 roku obniża stopę procentową od pożyczek, udzielanych na zastaw papierów wartościowych do wysokości 6½% w stosunku rocznym przy wydatnym obniżeniu taryfy opłat manipulacyjnych.



Piękne okolice Cortina w południowej Italii.

gactwa jednostek w stosunku do nędzy mas, działa w kryzysie światowym jeszcze także logika nadmiernie szybkiego postępu technicznego — i tej tyle osławionej racjonalizacji.

Okazuje się, że postęp techniczny odbywa się o wiele szybciej, niż przystosowują się do niego formy gospodarcze i społeczne. Wskutek tego każde udoskonalenie techniczne, każda nowa zdobycz w zakresie racjonalizacji produkcji, staje się przekleństwem dla wielkiej masy robotników, pozbawionych przez tę zdobycz pracy i zwiększających zastępy bezrobotnych.

Samo jedno zautomatyzowanie zamykania drzwi w wagonach nowojorskiej kolei podziemnej pozbawiło pracy 70.000 konduktorów, których głównym zadaniem było właśnie zamykanie tych drzwi.

I takie zjawiska są na porządku dziennym. Nadmiernie szybki postęp techniczny spycha w przepaść bezrobocia i nędzy coraz to inne grupy robotników. Wskutek tego siła nabywcza ludności zmniejsza się, zamiast rosnąć.

Dlatego niektórzy myśliciele, głębiej patrzący w przyszłość, ostrzegają przed nieuzasadnioną gloryfikacją postępu techniki. Mereżkowski w swej biografii o Napoleonie powiedział:

„Nadużycie magii zgubiło starożytnych Atlantów... Głupcy mniemali, że ludzie dotarli do szczytu szczęścia, gdy tymczasem oczy ich olśniewała opętańcza żądza potęgi. Wtedy Bóg postanowił ukarać skażony ród ludzki. I... Atlantyda zniknęła w głębiach morza.

„Nam grozi zagładą nadużycie techniki. Nasza droga jest inna, niż dawnych Atlantów — ale cel mamy ten sam, co i oni: zdobycie tytanicznej mocy nad naturą, a jej szczytem ma być człowiek stający się bożkiem...

„Czym jest Atlantyda? Legendą, czy proroctwem? Czy ona już była — czy też dopiero będzie?”

Wr. szcie w odpowiedzi na pytanie: Dokąd zdążamy? — zjawiają się głosy wybitnych przedstawicieli dzisiejszej cywilizacji, które z ufnością wołają:

„Obecne cierpienia ludzkości są ostatnim, może najboleśniejszym wysiłkiem, by osiągnąć zjednoczenie i utrwalenie pokoju między wszystkimi narodami — to, co św. Paweł w swej wizji proroczej nazywa „spełnią ludów” (plenitudo gentium) — ów cel ostateczny i najwznioślejszy ostatnich wieków historii”.

Czy możemy się spodziewać, że wybije taka godzina, w której wykwitnie cywilizacja o cechach powszechności, niby jedna dusza olbrzymiego tworu? Czy nadejdzie czas takiej cywilizacji uniwersalnej, która będzie syntezą najczystszych i najwznioślejszych składników cywilizacji poprzednich i etyki chrześcijańskiej, wiedzy i przemysłu Zachodu, mądrości Azji, oraz wykwitu sztuki europejskiej i wschodniej?

„Epoka zamętu i rozstroju, jaką przeżywamy — mówi Guglielmo Ferrero — może równie dobrze być zapowiedzią wielkiego zjednoczenia, jak i początkiem długiego i powolnego rozkładu. By móc jasno przewidzieć — dokąd zdążamy — trzeba by widzieć, czym są właściwie te siły tajemnicze, czające się na dnie obecnego roztroju. Wydaje się, przy głębszym badaniu, że wszystko będzie zależało od kierunku, w jakim pójdzie sumienie jednostek i całych narodów. Przemiany zewnętrzne nie wystarczą; musi być wstrząśnięte i oczyszczone sumienie — wtedy świat odetchnie!”... (por. „Osservatore Romano. Art. „La Mistica dell'Unita” — „Mistyka jedności”).

Msgr dr JÓZEF GORBACH

BOLSZEWIZM A RODZINA

„Smutne wypadki w Hiszpanii są ostrzeżeniem i przestrogą, że podwaliny wszelkiego ładu cywilizacji i kultury bezpośrednio i do ostatecznych granic są zagrożone”. W tych słowach Papieża, wyrzeczonych do zbiegów z Hiszpanii, zawarte jest wszystko, co można powiedzieć w tej sprawie. Do najmocniejszych i najpewniejszych podwalin kultury chrześcijańskiej i ładu społecznego należy rodzina chrześcijańska, dlatego też jest ona celem wszelkich bolszewickich ataków.

Dlaczegóż najostrzejszy radykalizm, z którym wszędzie bolszewizm się brata, gdzie swobodnie rozwijać może swą destrukcyjną działalność, rzuca się przede wszystkim na rodzinę chrześcijańską, by ją zniweczyć? Odpowiedź prosta: właściwą przyczyną tej walki jest ścisła łączność rodziny z religią. Od czasu istnienia Kościoła, nie była ona jeszcze nigdy przedmiotem takich ataków, podejmowanych w sposób iście diabelski, z użyciem tylu różnych sposobów walki i z tak szatańską nienawiścią, jak się to dzieje od niemal dwudziestu lat w Rosji sowieckiej i jak to widzimy od 19 lipca 1936 roku w dzielnicach Hiszpanii, zajętych przez komunistów.

Jedną z najpewniejszych warowni religii i Kościoła jest chrześcijańska, rządząca się prawem Bożym, rodzina. Stąd ten szturm ucieleśnionego w bolszewizmie bezbożnictwa przeciwko rodzinie. W oficjalnym podręczniku bolszewizmu, wydanym w roku 1923 w Moskwie, pod tytułem: „Zadania i metody rosyjskiej propagandy”, znajduje się następujące zdanie: „Kobiety muszą porzucić rodzinę! Trzeba w nich stłumić uczucia miłości macierzyńskiej!” Najdelikatniejsze zatem więzy, jakimi Swórca otoczył serce człowieka, były i będą w Rosji sowieckiej planowo i okrutnie rozrywane. My, mieszkańcy Środkowej Europy, nie możemy sobie utworzyć właściwego wyobrażenia o brutalności i okrucieństwie, z jakim to dzieło zniszczenia jest w czyn wprowadzane. Działacze na polu krzewienia kultury bolszewickiej zawarli sojusz z najróżnymi instynktami natury ludzkiej i wszystkimi rozwiązłymi namiętnościami ludzkimi. W artykule 12 sowieckiego prawa małżeńskiego związek małżeński został uznany jedynie jako „urzędowo poświadczone współżycie”, które bez specjalnych formalności można znowu rozwiązać. Również skasowanie niedzieli, która przynajmniej raz w tygodniu zespalała rodzinę, wypłynęło z tego szatańskiego planu.

Przez zerwanie tych więzów rodzinnych przypieczętowano los wielu milionów dzieci. Według zestawień dokonanych przez wdowę po Leninie liczba bezdomnych dzieci w Rosji sowieckiej już w 1923 roku wynosiła około siedem milionów. Dzieci te uległy naturalnie zupełnej demoralizacji: już przed laty stwierdziło czasopismo „Psychiatria i Neurologia”, że „liczba młodocianych przestępców w Leningradzie jest dziesięć razy większa niż przed wojną”. Jest to rzecz zrozumiała, gdyż rodzina jest z woli Bożej ustanowioną szkołą dziecka. Obecnie stwierdzono już, że w Rosji jest 74 razy więcej młodocianych przestępców aniżeli było ich dawniej. Wtajemniczonych nie mogła zdziwić zatem hiobowa wieść, która obiegła Europę, że w Sowietach dwunastoletnich przestępców można karać śmiercią. Zaprawdę do głębi przejmującą jest nędza ludzkości, zaślepionej ideologią bolszewicką, ta nędza, w którą satanizm w Rosji sowieckiej wtrącił ludność przez bezbożne i sprzeczne z naturą niszczenie rodziny!

Oby nas Bóg zachował od tego szatańskiego burzenia ogniska domowego, od tej rozwierającej się przepaści, na dno której naród stoczyć się może, jeżeli nie zdoła w ostatniej chwili przywrócić porządku w chaosie panującym dziś w stosunkach rodzinnych. Niestety, jest to smutną rzeczywistością, że i u nas w Polsce pewien odłam rodzin jest strupieszały, że w większości rodzin zamarło nadprzyrodzone, religijne życie. Religijnie obojętne, a co gorsza oziębłe i wrogo do Chrystusa odnoszące się rodziny, to największa przeszkoda w rozbudowie chrześcijańskiego ustroju państwowego. W obliczu tego grożącego niebezpieczeństwa należy wszystkich zmobilizować: przeciw niszczycielom praw chrześcijańskiej moralności, zwolennikom wolnej miłości, obrońcom sprzecznych z prawem konkubinatów, propagatorom nudyzmu w rodzinach, zabójcom kiełkującego życia i przykładającym rękę do białej śmierci, oraz przeciw tym wszystkim, którzy bezczeszczą żywe świątynie Ducha Świętego, przeciw tym wszystkim szkodnikom i truciciełom ludu chrześcijańskiego musimy wyprowadzić nasze oddziały do walki. Oświeć nas, Panie, abyśmy poznali, że upadek rodziny niechybnie za sobą pociąga rozpadnięcie się państwowości, abyśmy zrozumieli, że wszelkie wysiłki naszych duchownych i świeckich przywódców będą daremne, o ile w ostatniej chwili nie zdołamy zaprowadzić ładu w tym strasznym zamieszaniu, jakie panuje w upadłych rodzinach i ulegających w 75 procentach wpływom bolszewickim.

WIESŁAW PYREK

POWSTAŃCOM

Bohaterowie bez wieńców laurowych,
Rycerze, którym potrzaskano miecze!
Rozpacz wam serca zakuła w okowy?
Moskiewski żołdak o ducha miał pieczę? —

Poszliście wierząc, że miłość zwycięża,
Że wolność ślady szubienic zaciera.
W żałobie matek i w błyskach oręża
Szła z wami muza Artura Grottgera.

I cóż za plony waszego powstania?
Zamiast Ojczyzny — biel sybirskich śniegów,
Zamiast rodziny — samotność wygnania
I szczęk łańcucha na każdym noclegu.

Jednak ślad po was noszą pokolenia:
Na czołach naszych, jak wyrok, wykuta
Przetrwa przez wieki czarna smuga cienia,
Co padł od krzyża na grobie Traugutta.

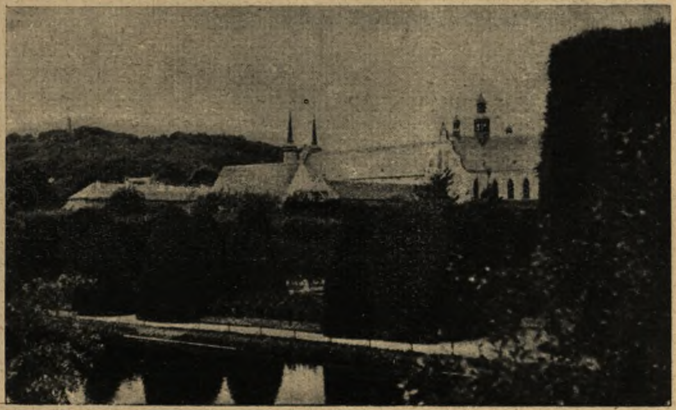
PROF. WŁ. BURKATH

GDAŃSK I JEGO OKOLICE

Jeżeli jesteście w Gdańsku po raz pierwszy, to pamiętajcie o tym, że najpiękniej wygląda on wieczorem. Wówczas to, o zmierzchu, w cieniu monumentalnych murów Marienkirche budzą się dookoła wspomnienia minionych stuleci. Dość jest rozejrzeć się po najstarszych zaułkach Gdańska, przylegających do tej olbrzymiej świątyni, wejść do wąziutkich bram i podwórek starego miasta, aby odtworzyć sobie przeszłość, jakże świetną. Tam — na Frauengasse, patrycjuszki średniowieczne zasiadały po pracy dziennej na przedwieczorną pogawędkę na antycznych balkonach, wychodzących wprost na ulicę. Nieopodal, przy wielkim drewnianym dźwigu Krantoru pracowały dziesiątki nóg i rąk ludzkich, aby ładować towary na pokład ówczesnych fregat morskich. Ile tych rąk potrzeba było, aby wznieść przed wiekami czternastopiętrową wieżę kościoła Panny Maryi? Nieco dalej, w Dworze Artusa przyjmowali patrycjusze gdańscy delegacje z zagranicy. Na zamglonej powierzchni kanałów gdańskich panoszył się kiedyś, kto wie jak długo, nieustraszony pirata morski — Beneke.

Co godzinę z wieży ratusza, czy od św. Gertrudy płyną chorały dzwonów, tym wyraźniejsze, im jest późniejsza pora. Na szczycie wieży ratuszowej kołysze się jeszcze, jak przed wiekami, złocona figura Zygmunta Augusta. — Gdańsk jest najpiękniejszy o zmierzchu, trzeba się o tym przekonać w samotnej, najlepiej bez krzykliwych uwag przewodnika, odbytej przechadzce.





Od góry: *Gdańsk. Ulica Frauengasse.* Niżej: *Gdańsk. Oliwa.*



Gdańsk. Wodotrysk Neptuna.



Gdańsk. Ulica Frauengasse.



Gdańsk. Rynek rybny.



Gdańsk. Wnętrze kościoła Chrystusa Króla.



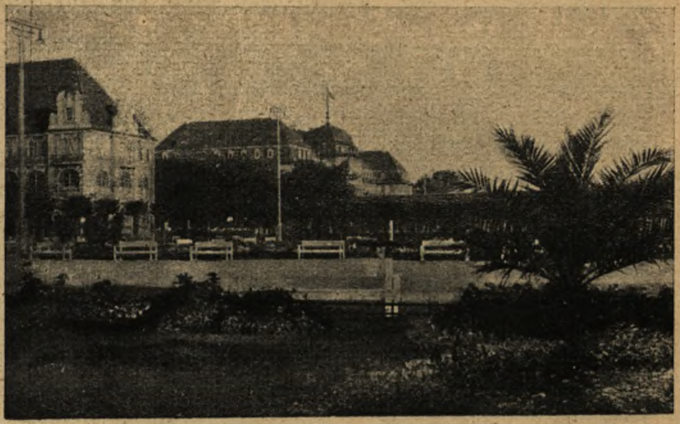
Gdańsk. Polski kościółek Chrystusa Króla.



Gdańsk. Sopoty. Ogród Domu Uzdrowiskowego



Gdańsk. Langfuhr



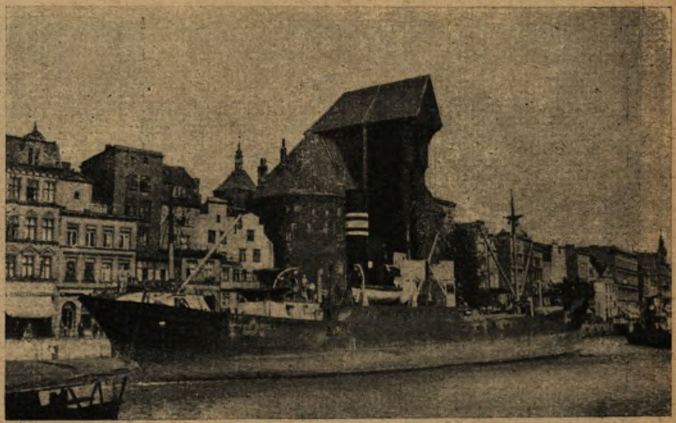
Gdańsk. Sopoty. Ogrody Domu Uzdrowiskowego i Hotelu Casino.



Gdańsk. Wnętrze Dworu Artusa.



Gdańsk. Sopoty. Dom Uzdrowiskowy.



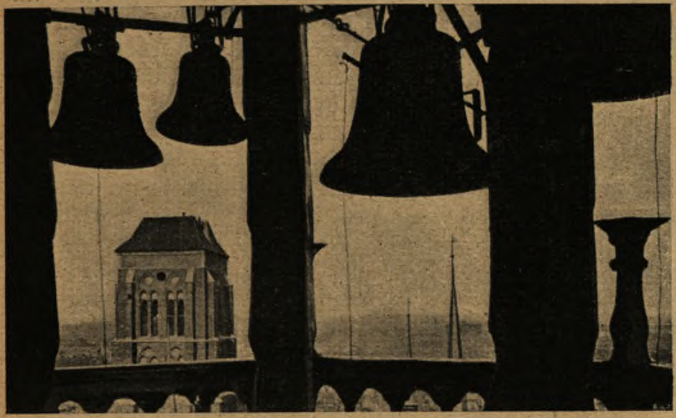
Gdańsk. Kantor.



Gdańsk. Opera.



Gdańsk. Obserwatorium astronomiczne i „Żuraw".



Gdańsk. Widok z Kościoła Mariackiego.



Gdańsk. Gry ludowe.



Gdańsk. Pochód heroldów.



Gdańsk. Sopoty. Opera Leśna od strony sceny.



Gdańsk. Sopoty. Brzeg morza.



Gdańsk. Zielona Brama.



Gdańsk. W czytelni.



Gdańsk. Przy rulecie.

W słońcu — miasto staje się inne. Dzwonki tramwajów i ruch uliczny tłumią w nim to, co jest najistotniejsze. W dzień za to warto rozejrzeć się po licznych pamiątkach starego Gdańska. Przyjrzeć się życiu portu, w którym co chwila coś się dzieje. W olbrzymich dokach stukot maszyn i zgrzyt kół, tu „odnawiają się” okręty. Silne dźwigi ładują węgiel na pokład transportowców, gdzie indziej kilkumetrowe bele drzewa naszego przechodzą z toruńskiej barki do składów portowych. Zbliża się jakiś olbrzym, wołając z pełnego morza głosem syreny o holownika. W porcie widzimy życie współczesne, tam w cieniu uliczek — wspomnienia z dawnych lat. Jedno i drugie dopełnia się nawzajem, zazębia, jak koła doków i tworzy obraz obecnego Wolnego Miasta.

Warto jest także zajrzeć do wnętrz. Taki na przykład Dom Upphagena — ongiś bogatego patrycjusza gdańskiego, to żywa karta historii. Zachowano tam ku wiecznej pamiątce rzeczy, i to wszystko, co było tłem życia gdańskiego w XVIII-ym wieku. Długi poczet komnat, umeblowanych antykami, pełnych kryształów i cennej tu porcelany, kaflowych malowanych pieców i obrazów szkoły holenderskiej, tworzy niezapomnianą całość. Dom Upphagena na Langegasse mówi nam, po stokroć więcej o życiu Gdańska, niż książka. Z przedziwnym naturalizmem zawieszono w śpiżarni „ćwierci” mięsa i wędliny. Zdawałoby się, że to wiek XVIII, a Upphagen — wyszedł na audiencję do Dworu Artusa... Przedziwny miraż mówiący mi tyleż, ile dom Beethovena w Bonn, lub Żelazowa Wola.

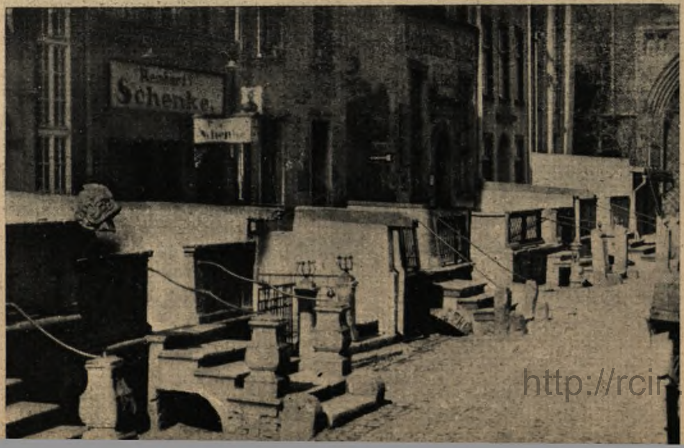
W pierwszych dniach sierpnia odbywa się na przedmieściu Gdańska słynny jarmark św. Dominika. Długi szereg aut i sznury tramwajów wiozą wówczas gdańszczan ku Heubude.

Nie nazwę Dominika gdańskiego czymś na miarę „Tivoli” duńskiego lub „Foire” francuskiej. Szkoda, że nie ma tu już folkloru — barwnych strojów ludowych, ani figur woskowych. Jest to raczej wiedeński



Gdańsk. Rynek Długi i studnia Neptuna.

Gdańsk. Ulica Frauengasse.



Gdańsk. Widok ogólny.



rozbawiony beztroską Prater w słoneczne, niedzielne popołudnie. A więc — nieodzowna kolejka górska, słupy z nagrodami, karuzele i stragany, setki straganów ze słodyczami, piwem i oczywiście ulubionymi tu lodami. Na „Dominika" bawią się wszyscy, zaczynając od senatorów, kończąc na służbie domowej przybywającej tu w niedzielę nie tylko z Gdańska, lecz i z pobliskich miast i miasteczek, jak Ohra, Oliwa lub Sopoty.

W dniu kiedy przybyłem do Sopot odbywało się tu doroczne święto „lipcowego karnawału". Na głównej ulicy, prowadzącej do słynnego kasyna, tłumy widzów oczekiwało na przybycie pochodu. Mając zagrodzoną drogę, stanąłem i ja, przyglądając się z zaciekawieniem ulicy. Zamiast spodziewanej niemczyzny słyszę dookoła siebie znaną nam dobrze gwarę z Nalewek i podziwiam różnorodność typów „mniejszości narodowej". Jak się potem dowiedziałem, ***Żydzi po prostu zalali Sopoty,*** jest ich tu 90% ogólnej liczby kuracjuszów. Panoszą się tu tak samo, jak w Warszawie, z krzykiem manifestując swoją rzekomą „polskość". Pochód zbliża się. Na czele — trzech heroldów mających symbolizować Gdańsk i — Rzeszę. Gwiazdy na tle czerwonym — godło Wolnego Miasta znajduje swoje uzupełnienie w wielkim sztandarze ze swastyką. — Nie mogłem dociec, kogo wyobraża herold „środkowy", jadący pomiędzy nimi. Był on niestety — bezbarwny... Tuż za nimi orkiestra wojskowa z Reichu w strojach galowych. Dalej przepyszne „corso". Cicho i bezszelestnie suną dziesiątki powozów, spowitych w kwiecie, za nimi udekorowane auta i znowu jakieś amazonki w strojach ludowych. „Mniejszość narodowa" spogląda dość trwożliwie na swastyki i naramienniki młodych hitlerowców — nie wróżą im one nic dobrego. Pochód trwa co najmniej przez trzy kwadranse. Zamyka go tradycyjny „niedźwiedź, oczywiście w przebraniu, wyczyniający w stronę tłumu groteskowe miny i pocieszne skoki. — Pochód

Gdańsk. JE. Ks. Edward O'Rourke, biskup gdański.





Gdańsk. Popiersia królów polskich przy wejściu do Dworu Artusa.



Gdańsk. „Rienzi" w Operze Leśnej.



Gdańsk. Wysoka Brama i Katownia z wieżą.
Gdańsk. Zielona Brama i most.



rozwiązuje się dopiero u stóp Kurhausu sopockiego — jednej z najpiękniejszych budowli nadmorskich. Kilka fajerwerków, koncert orkiestry i zabawa ludowa skończona.

Będąc w Sopotach nie sposób jest nie zajrzeć do kasyna. Żywe odbicie Monaco, oczywiście w miniaturze, to „owoc zakazany", a więc tym bardziej ponętny. Ci, co się zarzekali po stokroć razy, że tam nie pójdą, suną ku tym tajemniczym murom zarówno z ulic sopockich, jak z pobliskiego Orłowa. Ba, nawet z dalekiego Albionu, gdyż angielskie okręty turystyczne zawijają do mola tutejszego kilka razy w miesiącu. Żądza wygrania, ta najzłudniejsza z żądz ludzkich, jest snać silniejszą od rozsądku. Kasyno sopockie, to Ministerstwo Skarbu dla Wolnego Miasta. Przy dziesięciu stołach rulety i kilku — bakaratach, przepływają codziennie setki i tysiące pozornie nic nie znaczących sztonów. Tworzą one jednak sumy zysków olbrzymie. Mówimy o tym w zacisznym, z dala od sali gry położonym, gabinecie dyrektora von Heinego, który udziela mi jak najchętniej informacji o życiu kasyna.

Gdańsk. Ulica Frauengasse.



Gdańsk. Toaleta poranna — rulety.





Gdańsk. Orzeł polski na drzwiach tzw. Gdańskiej Sieni.

Codziennie, zanim publiczność napłynie, fachowi robotnicy czyszczą i oliwią precyzyjny mechanizm rulety. Trzeba przyznać, że o nadużyciach ze strony zarządu i krupierów nie może być tu mowy. Mała, drobna kulka skacze po metalowych przegródkach, znacząc liczby. Setki oczu wpatrzonych w jej wirowanie, z zapartym tchem czeka... wygranej. Ale walka maszyny z człowiekiem, to walka niewspółmierna. Nie ma tu ani „systemów", ani metod. Jedni zapisują przy stole z pilnością wartą lepszej sprawy kolejne numery, inni rzucają grosz na oślep, na los szczęścia. Wyciągają się chciwie ręce, wszystko jedno, czy ciemne od pracy w porcie, czy też zakończone długimi, naróżowanymi paznokciami. Czasem czyta się o wielkiej wygranej jakiegoś szczęśliwca, czasem dochodzą nas wieści o czyimś samobójstwie. Ale mała kulka rulety nie ma czasu na rozmyślanie. Z matematyczną ścisłością, z tempem życia współczesnego krąży ona i krążyć będzie dalej po nakreślonej przez człowieka orbicie...

Z Sopot jeden krok do Oliwy, będącej dziś siedzibą biskupa gdańskiego. Tu, w prawym skrzydle dawnego klasztoru o.o. cystersów, zamieszkuje od lat 12 pierwszy pasterz nowej diecezji, JE. *Ks. Biskup O'Rourke.* — Zaczynam od złożenia sędziwemu Ks. Biskupowi wizyty, prosząc go w imieniu naszego pisma o chwilę rozmowy. Dzieląc się tymi wrażeniami z czytelnikami gdzie indziej, udaję się korzystając z rady JE. na zwiedzenie prastarej katedry oliwskiej. Olbrzymia, przeszło stumetrowa nawa główna sprawia od razu wielkie wrażenie. Wielki ołtarz, widziany z kruchty staje się niemal zamglony. Udziela mi się to samo odczucie, jakie odnosi turysta, patrzący w głąb kopuły św. Piotra w Rzymie — odczucie zawrotnej odległości. Nad kruchtą katedry — organy, do niedawna jedne z największych na świecie. Sto kilkanaście rejestrów i cztery manuały — jakie to bogactwo dźwięków!



Gdańsk. Ks. L. Bemke P. S. M., kapelan polskiej załogi na Westerplatte i prefekt szkół polskich w Gdańsku

Codziennie o 6 ppoł. dźwięki te napełniają katedrę. To organista katedralny, *prof. Pestka,* daje recital organowy dla gości kąpielowych. Z oddali idą ku nam anielskie szmery najcichszych fletów organu. Jakby chóry niebiańskie snują się one u stropu katedry. Chóry rosną, odbijając się echem po nawach bocznych, zaglądają do prastarych zakamarków po obu stronach prezbiterium. Dźwięk rośnie, potęguje się. Gdzieś nad nami odzywają się trąby i puzony. Tysiące piszczałek grają w tym cudownym instrumencie. Wreszcie wybuchają one z siłą gromu, uniemożliwiając nawet myślenie. Potężne fortissimo wstrząsa świątynią i ścina krew w żyłach...

Wreszcie u stropu, oświetlona przez specjalny reflektor, odzywa się „żywa" orkiestra aniołów. Jedne z nich grają na fletach, inne na trąbach, inni wreszcie uderzają w takt muzyki w mosiężne bębny i talerze. — Wrażenie niezapomniane... Koncert się skończył, a nam się wydaje, że echo trąb wciąż jeszcze odzywa się w półcieniu wielkiej katedry oliwskiej.

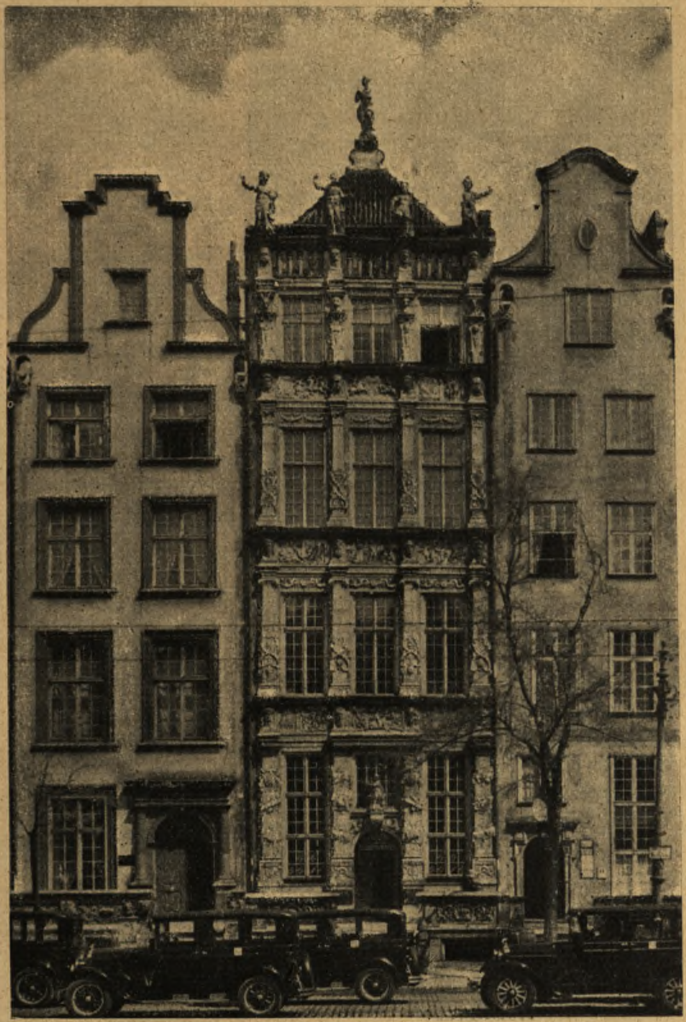
Tegoż wieczora wracam raz jeszcze do Sopot. Tym razem, aby usłyszeć arcydzieło Ryszarda Wagnera w jedynej w Europie *Operze leśnej.*

Jest jeszcze wcześnie, ale chodniki i jezdnia pełne są osobliwych „pielgrzymów" idących zwolna ku górze. Jedni z nich niosą krzesła, inni walizy z prowiantem i ciepłe okrycia zimowe. Przyglądam się im z zaciekawieniem, wiem bowiem, że celem tej osobliwej wędrówki jest opera.

Przedstawienie Opery leśnej, jak mnie informuje ich długoletni kierownik, p. *Herman Merz,* datują od lat 27. Na specjalnie wybranej polanie leśnej, tuż obok Sopot, urządzono w r. 1909 pierwszą tego typu scenę. Kilka tysięcy widzów zarówno z Sopot, jak z Polski i Niemiec przybywa tu corocznie, aby przy końcu lipca słuchać przedstawień operowych. Pierwotnie wystawiano tu dzieła różnych kompozytorów. Od czasu, kiedy dyr. Merz objął kierownictwo artystyczne wykonywane są, na wzór Bayreuthu, jedynie arcydzieła wagnerowskie. „Lohengrin", „Tannhauser", „Śpiewacy Norymberscy" bądź „Zygfryd" i „Walkirie", a wreszcie od paru lat — „Parsifal", oto szczegóły repertuaru.

Niesamowite wrażenie sprawia sama *scena.* Sto metrów szerokości i tyleż głębokości daje olbrzymie możliwości dla reżysera. Zasłona z liści dębowych rozsuwa się przed oczyma tysięcy widzów, za pociśnięciem jednego guziczka. To, co na scenie „miejskiej" jest ograniczone, tu w Operze leśnej staje się możliwym. Olbrzymi zespół statystów bądź chórzystów, wynoszący w rb. przeszło 500 osób niknie po prostu. Orkiestra licząca 130 osób brzmi z bliska, jak niewielki zespół. Co osobliwsze — głosy solistów wydają się tak wyraźne, jak w sali. Tło naturalne — niebo lipcowe i poszum sosen zbliżają nas ku antycznej scenie greckiej. „Bo też jest to jedno z moich założeń artystycznych, mówi mi Herman Merz, wieloletni kierunek artyst. Opery leśnej — zbliżenie człowieka do sztuki przez przy-

Gdańsk. Dom Steffensa.



Gdańsk. Widok z Kościoła Mariackiego.





Gdańsk. Widok na Kościół Mariacki i Ratusz.



Gdańsk. Kościół Mariacki.



Gdańsk. Widok na Kościół św. Katarzyny.

rodę. — Istotnie cel ten, o czym się sam mogłem przekonać, został osiągnięty w całej pełni. Obojętne, czy będzie to „Rienzi", „Lohengrin", czy też mistyczną muzyka „Parsifala" — wrażenie jest głębokie, o ileż głębsze, niż w zamkniętej sali operowej. Mamże wymienić nazwiska najświetniejszych śpiewaków wagnerowskich, jak Herta Faust, Sven Nilssen, czy też Inger Karèn. Będą one tak długo pustym dźwiękiem, zanim się nie przekonamy sami o wysokiej wartości tych „leśnych misteriów".

Dyrygent tej miary, co *prof. Heger*, wytrawny znawca Wagnera, potrafił podać oba dzieła twórcy z Bayreuthu, a zatem „Lohengrina" i „Parsifala" w sposób najbardziej wyrafinowany. Współczynnikiem podniosłych wrażeń, jakie odniosłem, były oczywiście również dekoracje. Wnętrze świątyni św. Graala, czy też ogród czarodziejski Klingsora nie miały sobie równych.

Mniejsza zresztą o szczegóły. O wiele, zdaniem moim, ważniejszym jest to cudowne„ „zbliżenie widza do sztuki przez naturę", o którym z takim entuzjazmem mówi Merz. W ciszy nocy letniej czuje się o wiele głębiej, *czym może być opera*. Frazesy o jej przeżyciu się, powtarzam wciąż na łamach prasy, rozbijają się skutecznie o wysokie sosny sopockie. Jeśli prawdą jest,



Gdańsk. Kaplica Królewska, zbudowana przez Jana Sobieskiego w roku 1681.

że Polska ma zamiar stworzenia analogicznej sceny w Gdyni, to należy zwrócić projektodawcom uwagę na konieczność stworzenia nie tylko odpowiednich warunków akustycznych i sprowadzenia najcelniejszych sił artystycznych, których obecnie posiadamy zbyt mało, ale przede wszystkim na zdobycie *takiej publiczności*, jaką się widzi corocznie na cy-

Gdańsk. Charakterystyczna wieża tzw. Hochturm'.



Gdańsk. Ratusz.



Gdańsk. Oliwa. Katedra.



klu wagnerowskim w Operze leśnej w Sopotach. Inaczej, najszczytniejsze poczynania rozbiją się, jak to u nas często bywa, o brak frekwencji, przez co już samo przedsięwzięcie zdepopularyzuje się. Z tym czynnikiem liczyć się należy.

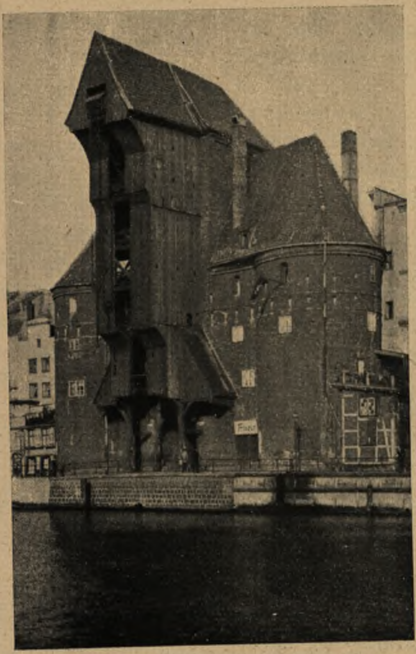
Dużo by się jeszcze dało napisać o życiu i o kulturze Wolnego Miasta. Mówią same za siebie piękne domki sopockie, czy oliwskie, spowite w kwiecie i pełne zieleni. Dużo daje do myślenia planowość z jaką się tu buduje i stosunek do celników. Pomimo hitleryzmu — tolerancja dla Żydów, pomimo kryzysu — brak widocznego ubóstwa. Jedno i drugie musi przyciągnać tu gości z zagranicy, tych zwłaszcza, dla których obojętnym jest, gdzie spędzą wywczasy, byle spędzili je w atmosferze kultury i wykwintu.



Gdańsk. Brama Langgasse Tor.



Gdańsk. Hotel-Kasino.



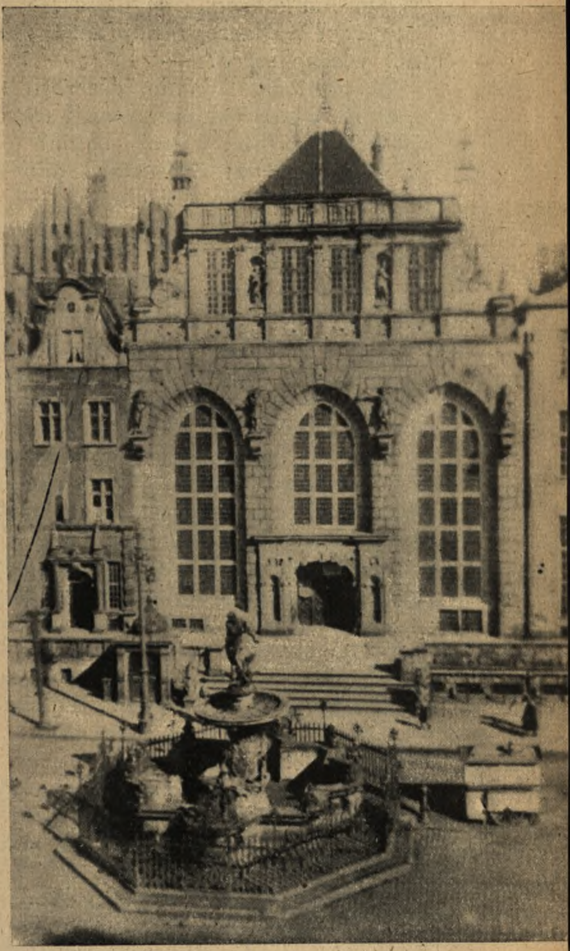
Gdańsk. Stary dźwig „Krantor".

Gdańsk. Kościół Mariacki w nocy.





Gdańsk. Twórca Opery Leśnej H. Merz.



Gdańsk. Dom Artusa ze studnią Neptuna.

IZABELA HENTZEL

POWIEDZMY SOBIE PRAWDĘ W OCZY...

(NA MARGINESIE KSIĄŻKI HELENY HALUSCHKA: „ADAM I EWA". PRZEKŁ. Z NIEM. P. STAROWIEYSKIEJ-MORSTINOWEJ)

Przyćmione światło złocistej lampy rzuca ciepłe blaski.

Wokoło panuje szary półmrok i cisza. On i ona, nazwijmy ich Adamem i Ewą, siedzą w wygodnych fotelach i... mówią.

Popełnijmy niedyskrecję i podsłuchajmy o czym mówią?

„..... Prawdziwa miłość jest jak skarb państwa. Wszyscy o nim mówią, niewielu go widziało, a najczęściej nie istnieje on wcale". —

* * *

Ewa oskarża Adama.

Adamie, pozwól raz, jeden raz, że Ewa będzie się skarżyć na ciebie.

„Pamiętam, że jestem ci winna szacunek. Nie zapomniałam o tym i za nic w świecie nie chciałabym ci się narazić.

„Ale przyznaj jednak sam...

„Dlaczego wiedza książkowa jest dla ciebie zawsze świętsza, niż ten Boski pierwiastek, który nosisz w duszy, czyż on nie mógłby cię nauczyć więcej rzeczy, niż twój umysł ogarnąć zdoła? —

„Dlaczego podziwiając i badając stworzenia, których pojąć nie możesz, wstydzisz się ich Stwórcy, twojego Stwórcy? Dlaczego najdalsza gwiazda jest ci bliższa niż własne serce? —

„I powiedz, Adamie, dlaczego ty, który umiesz tak pięknie władać słowem, tak bardzo szczędzisz słów pochwały i miłości własnej żonie? —

„Dlaczego ten żar ustawicznie w tobie płonący tak mało rozsiewa dokoła ciepła? —

„Dlaczego bezprawiem dla mnie jest to, co dla ciebie jest prawem?

„Dlaczego masz podwójną moralność?

„Już słyszę, co mi odpowiadasz: nie powinnam się brać do filozofii, bo się na niej nie znam.

„Dobrze. Pozostańmy na ziemi. Powiedz mi więc, dlaczego nie kochasz mnie, tylko jakiś wyśniony mój obraz, tylko twoje własne o mnie urojenie?

„Jeśli ty jesteś poetą, to ja mam żyć tylko ambrozją i nektarem, biada mi jeśli mnie przychwycisz z kawałkiem sera w ręku, cały twój światopogląd wali się od razu w gruzy.

„Jeśli jesteś wojownikiem, to chcesz, abym pełna natchnienia wygrywała ci surmy bojowe.

„Dla artysty znowu muszę być na zawołanie to Wenerą, to strzygą, to matroną, to diabłem, to aniołem: moja piękność ma jaśnieć albo rozkwitłą okazałością, albo majaczyć bladą powiewnością.

„Dziś chcesz, abym była głupia, jutro znów uduchowiona. —

„Powiedz mi, dlaczego tak się krygujesz? Czy myślisz naprawdę, że twój cylinder, twój sztywny kołnierzyk, twoje mankiety — to dla mnie pokusy nie do przezwyciężenia?

„Dlaczego skarżysz się, że chodzę na szczudłach, gdy mam wysokie korki przy trzewikach, skoro sam wykręcasz sobie kark, aby zobaczyć śliczne paryskie buciki mojej przyjaciółki?

„Dlaczego tak sławisz przede mną zalety ordynarnego szewiotu i wdzięk prostoty, kiedy sam lecisz za każdą jedwabną szmatką? Dlaczego zawsze bardziej zajmuje cię i pociąga występek niż cnota? Popatrz na swoją sztukę, książki, obrazy!

„Dlaczego w małżeństwie tak prędko zapominasz o zapałach i wzlotach twej młodości? Dlaczego nie chcesz zrozumieć, że ja, choć stanę się twoją żoną, nie przestaję być ponętną i godną miłości kobietą? Dlaczego zawsze ciężkimi butami włazisz na moje kwiatowe grzędy duszy? Czy nie widzisz, że tu w moim sercu, w moim życiu, kwitnie jeszcze niebieski kwiat miłości?

„O tak, Adamie: gdy ty już zapomniałeś jego imienia, on u mnie jeszcze wciąż kwitnie, wciąż jeszcze jest żywy i życia pragnący". —

* * *

Te i wiele innych rzeczy powiedziała Ewa Adamowi.

Mimo zarzucanego jej „braku logiki" i zdolności rzeczowego pojmowania i rozumienia spraw i zagadnień życia, Ewa z talentem doskonałego antropologa podzieliła mężczyzn na kilkanaście zasadniczych typów.

O, Adamowie, czytajcie i poznawajcie siebie.

A więc zaczynam......

Stuprocentowy.

Byłby może miły, gdyby ochłonął z radosnego zdziwienia, że jest mężczyzną! Przy każdej sposobności wielbi łaskawy los, że on nie jest podobny do kobiety. Jest mężczyzną, prawdziwym, stuprocentowym mężczyzną! Kobieta u jego boku nie ma nawet własnego imienia, tylko „moja żona", „moja kobieta". Główny nacisk kładzie na „moja".

Prawdziwego fiołka ma na punkcie swego przodującego stanowiska, mówi zawsze tylko o „łamaniu i uginaniu".

On jest głową rodziny, więc wymaga, aby cała rodzina, przejęta trwogą, stała przed nim na baczność. Nikomu, a zwłaszcza żonie, nie wolno mieć własnego zdania. Jeżeli on zawyrokuje, że jest zimno, wszyscy muszą szczękać zębami.

Chełpi się tym, że potrafi każdy charakter nagiąć do swojej woli, i odparować każdy cios losu.

Za to z zasady jest głuchy i ślepy na wszelkie zasługi żony. Umie je sobie zawsze dogodnie wytłumaczyć.

Jej cierpliwość jest dla niego niewrażliwością nerwów, jej odwaga lekkomyślnością, ofiarność — przeklętą obowiązkowością, jej zgodny charakter — poczuciem winy.

Pedant.

Znaki zewnętrzne: Żaden włos nie drgnie na wypolerowanej głowie; fałdy spodni przypominają ostrza brzytwy. Cała postać tchnie zawrotną doskonałością. Jego wzrok nieomylnie padnie na naderwany guzik twojej sukni. Przez skórę wyczuje najmniejszą niedokładność, jak gończy pies wyłowi najdrobniejszy pyłek. Dokoła niego wszystko musi lśnić. Porządek jest jego fetyszem.

Patrzy ciągle na świat przez szkło powiększające, toteż bakterie, zawarte w wodzie, urastają dla niego do rozmiarów słoni. Szczegóły przysłaniają mu całość. Dla

kobiety, która z natury nie jest drobiazgowa, taki mąż — to prawdziwa katastrofa.

Malkontent.

Gderliwy mąż i skrzypiący wózek dziecinny — to dwa przejawy małżeńskiego pożycia, które największego nawet wielbiciela rodziny mogą do tej instytucji zrazić na zawsze.

Ledwie oczy otworzy, już coś mamrocze z nieukontentowaniem: Pogoda jest zła, ubranie za lekkie, albo za ciepłe, trzewiki go gniotą, a oprócz tego są źle z reguły wyczyszczone; śniadanie za zimne, albo za gorące. W zupie zawsze znajdzie muchę, na drodze zawsze potknie się o kamień; w każdym arcydziele dostrzeże słabe strony. Zatruje każdą wesołość, zakracze każdą nadzieję. Narzekanie jest jego ulubionym sportem i nic nie sprawia mu takiej przyjemności, jak zepsuć przyjemność drugim.

Bezwzględny.

Na przykład pan Adam wraca późno do domu, nie może od razu znaleźć zapałek, więc oczywiście budzi wszystkich. Wszyscy zawsze muszą czekać z obiadem, bo niewiadomo kiedy raczy przyjść do stołu. W obcym mieście bez skrupułów pozostawi swoją żonę na środku ulicy, gdy coś mu nagle wpadnie do głowy: niech sobie radzi, jak umie.

Za zrobioną dla niego grzeczność nie powie nawet „dziękuję", bo to mu się przecież należy. Mówi zawsze bez zastanowienia i nie przyjdzie mu nawet na myśl, że słowami swoimi może zranić bliźniego.

Dzieci od najmłodszych lat muszą mu we wszystkim dotrzymywać kroku: w nauce, jedzeniu, na spacerze i na tenisie. Przedwcześnie dojrzałe starają się mu nadążyć, a wówczas on konstatuje z zadowoleniem, że one już „umieją się pchać łokciami". —

Niezależny.

Musi okazywać na każdym kroku, że nie jest pod pantoflem. Przy ludziach nie ruszy palcem, dla żony i dzieci okaże się raczej niegrzeczny i źle wychowany, choć nie robi tego z lekkim sercem — tylko wyłącznie dla „zasady". —

Ma wielu przyjaciół i kolegów, którzy ustawicznie wchodzą między niego i żonę. Gdy układa się projekt wycieczki najważniejsze jest to, na co ma ochotę kolega, albo jego znajoma; na co ma ochotę żona — obojętne. Z tym liczyć się nie warto. Żonę czasami toleruje się, gdy potrzeba czwartego do brydża!

Wszyscy widzieć muszą, że on pod pantoflem nie jest.

Bez charakteru

Natura tworząc go, wahała się czy to ma być mężczyzna? Jest człowiek, który drżącym głosem odpowiada „tak" — zanim usłyszy pytanie, i prostuje się, gdy jego zwierzchnik biurowy raczy zakaszleć. To typ, który budzi współczucie.

Ale jest i inny. Zawsze odważny, gdy chodzi o zniesienie cudzego cierpienia, mniej już odważny, gdy zajdzie coś w jego rodzinie.

Nie może się oprzeć uśmiechowi żadnej kobiety (oczywiście z galanterii), nie może się przeciwstawić drwinom kolegów (lubi być ze wszystkimi w zgodzie).

Zawsze w zanadrzu ma sto kłamstw i sto wykrętów, uchyla się przed każdą otwartą rozmową; w wypadkach drażliwych woli zawsze napisać list, niż rozmowę w cztery oczy. Nie lubi brać odpowiedzialności za swoje czyny, manewruje tak, aby w razie ujemnego wyniku można było winę zwalić na drugich.

W życiu codziennym jest pełen o… załatwić coś niemiłego, poleca to u…

W życiu nie znosi żadnego nie… dzie się w trudnej sytuacji, zło…stwem.

Blagier.

Oto macie przed sobą człowieka, który ws… dział, wszystkiego użył, wszystko przeżył, wszystk… czytał, wszystko wie.

Blagier mówi wszystkimi językami świata i porusza się równie swobodnie w todze, w mundurze, we fraku i w marynarce.

Nie jest bardzo szkodliwy ten prowincjonalny blagier, który opowiada barwnie o swych sercowych podbojach, przy których bledną zwycięstwa Don Juana. Blagier popularny nie odróżnia prawdy od bajki i sam wierzy święcie w swoje kopalnie złota na Kamczatce.

Ale jest jeszcze inny typ blagiera. Ten opętany jest manią kłamstwa, ma silną wolę okłamywania siebie i innych.

Tacy zawodowi blagierzy obiecują więcej, niż dotrzymać mogą, nadużywają stale zaufania drugich w tym celu, aby móc wierzyć w możliwość własnych mrzonek.

Pierwszym blagierem był rajski wąż, przyrzekający ludziom nieograniczoną wiedzę i życie wieczne.

Blagierami było wielu przywódców ludzkości, blagierem jesteś i ty, Adamie, gdy przyrzekasz tę rzecz, której nie dotrzymujesz prawie nigdy: *wierność.*

Dostojny pan.

Są ludzie, którzy idą przez życie tak uroczyście jakby ustawicznie kroczyli za własną trumną. Nie przyszli na świat, jak wszyscy, nago, lecz urodzili się we fraku i w cylindrze. Ich pierwszy krzyk na ziemi był patetyczny i pełen znaczenia, jak głos Kassandry. Wytchnienie, żart, humor, to wszystko jest niżej jego godności. Dla niego wszystko jest na tej samej płaszczyźnie; obowiązek, czy kwestia wyżywienia rodziny, czy włożenie jasnych rękawiczek na wizytę. Życie, czy narodziny, śmierć, czy strzyżenie włosów — to wszystko problemy równorzędne.

Natura artystyczna.

Gdyby był kobietą, powiedzianoby po prostu: histeryczka. Ale ponieważ jest mężczyzną mówi się człowiek wrażliwy i podlegający nastrojom — artystyczna natura, subtelne, wibrujące nerwy.

W takim wrażliwym człowieku jest jedna rzecz pewna: jego nieobliczalność. Albo jest „usposobiony", albo „nieusposobiony" od tego zależy wszystko: jedzenie, picie, miłość, praca, i mógłbyś się założyć, że umrze tylko wtedy, kiedy będzie usposobiony.

A najgorsze jest to, że zawsze oczekuje od żony „zrozumienia", nawet wtedy, gdy nic zrozumieć nie można. Świat widzi tylko w odbiciu krzywego zwierciadła własnych przeżyć. „Wrażliwy" Adam jest stokroć gorszy od najkapryśniejszej Ewy.

Oryginał.

Być oryginałem należy do dobrego tonu, bo nad dziwakiem i maniakiem unosi się nimb genialności.

Oryginałów jest wiele typów, ale mają oni wszyscy jedną wspólną cechę: nie przejmują się swoimi dziwactwami, nie walczą z nienormalnością swoich usposobień, przeciwnie są przekonani, że normalnymi są tylko oni, a reszta świata pomylona.

Bywają dziwacy, którzy rozkosz upatrują w tym, że odżywiają się inaczej niż wszyscy, inni uważają, że

WŁADYSŁAW OSZELDA

POLACY W AUSTRII

Trudno ująć w ścisłe dane statystyczne ogólną ilość Polaków mieszkających w Austrii. Globalna cyfra osiągnie granicę gdzieś około 30 tysięcy. Zdecydowaną większość tej liczby stanowią Żydzi, przybyli tu z Polski, którzy jednak — w lwiej części — pozostają poza ramami prac organizacyjnych kolonii polskiej w Austrii.

Obywateli polskich, przyznających się do narodowości polskiej, jest w Austrii około 8 tysięcy, z czego jednak zaledwie połowa jest zorganizowana w polskich związkach i stowarzyszeniach.

Aby należycie poznać i zrozumieć sytuację Polaków w Austrii, musimy sobie uzmysłowić następujące jej momenty: Polacy w Austrii mieszkają głównie na terenie Wiednia i byli dotychczas zupełnie prawie niezorganizowani. Wiedeń — miasto prawie dwumilionowe — rozciąga się na przestrzeni dwudziestukilku kilometrów (średnica). Polacy mieszkają w różnych dzielnicach miasta, co już napotyka na poważne trudności, jeśli chodzi o częste zbieranie się i komunikowanie. Jeśli do tego dodamy, że żywioł polski w Wiedniu, to robotnicy, rzemieślnicy, w większej części bezrobotni — otrzymamy w pełni obraz sytuacji Polaków na terenie Wiednia.

Znaczny odsetek Polaków w Austrii — to byli urzędnicy austriaccy, Żydzi, przybyli tu z Polski, i inni, rekrutujący się głównie z warstw robotniczych.

Ludzie ci, wychowani prawie, że wyłącznie w Wiedniu, a w każdym razie na terenie Austrii cesarskiej, nie stanowią w pełni stuprocentowego elementu emigracyjnego polskiego, jak to ma na przykład miejsce w krajach zaoceanicznych: Stanach Zjednoczonych, Brazylii, Argentynie, a z europejskich krajów: we Francji, Belgii, Niemczech itd.

Dlatego praca nad organizowaniem żywiołu polskiego w Austrii idzie w dwu kierunkach: uświadamiania narodowego części społeczeństwa polskiego w Wiedniu i scalania go pod wspólnym godłem Związku Stowarzyszeń Polskich w Austrii. Jeśli zaś chodzi o element wyrobiony narodowo, to zadaniem Związku jest jak najsilniej scementować go od wewnątrz i od zewnątrz w duchu pracy na wspólnym froncie polskości.

Nieustanna praca organizatorów życia polskiego w Wiedniu, jak świadczą dotychczasowe wyniki, nie idzie na marne. Przeciwnie — chlubić się może poważnym dorobkiem.

Główny nacisk w tej pracy położono na młodzież, zakładając Związek Młodzieży Polskiej w Wiedniu. Niejako przedwstępną instancję Związku Młodzieży są wzorowo prowadzone szkółki języka polskiego. Poza tym, widząc w sporcie nie tylko symbol zdrowia i tężyzny fizycznej, ale i poważny element wychowania narodowego, założono Polski Klub Sportowy w Wiedniu, który może się już poszczycić pięknymi rezultatami w spotkaniach z drużynami obcymi.

Staraniem Związku Polaków w Austrii — przy poparciu Światowego Związku Polaków z Zagranicy — co roku wyjeżdża część młodzieży polskiej z Austrii do Polski. Czym są te odwiedziny dla często nieznającej Ojczyzny dziatwy, o tym pisać chyba nie muszę.

II-gi Zlot Młodzieży Polskiej z Zagranicy pozostawił niezatarte wrażenie na uczestnikach Austrii. Pozwolił im nie tylko poznać Ojczyznę taką, jaką jest dzisiaj, ale również — przez odbycie szeregu obrad w gronie delegatów z innych państw — zapoznać się z obcymi bolączkami, dezyderatami i pragnieniami. Ze wspólnych narad wyciągnęli oni logiczne wnioski, które w formie konsekwentnych pociągnięć można przeszczepić na swój teren, dostosowując je do lokalnych potrzeb i warunków.

Cechą pozytywnej pracy społecznej jest wysiłek: wielki, bardzo wielki, maksymalny.

Jednoczenie tych maksymalnych wysiłków stwarza skupisko energii narodowej, dając początek jednoczeniu się jednostek słabszych lub mniej narodowo uświadomionych.

Po tej linii poszła mała kolonia polska w Austrii. Nieliczni na tym terenie działacze polscy nie tylko wykazali maksimum dobrej woli w pracy narodowej, ale nie skąpili i wysiłków. Dziś coraz więcej Polaków bierze udział w tej pracy, nie szczędząc sił i środków materialnych.

Oby praca ta, pomnożona przez wysiłki kilku tysięcy mieszkających tu Polaków, stała się naprawdę wielką i twórczą.

---

kolekcjonowanie pustych pudełek jest zajęciem godnym człowieka.

Jeden sypia co drugą noc, inny jada tylko co trzeci dzień itd. Tacy dziwacy na mężów się nie nadają... Chcą, żeby żona i dzieci nadążały za nimi na ich karkołomnych ścieżkach życiowych i przeprowadzają najbardziej fantastyczne plany i doświadczenia bez żadnego względu na zdrowie i dobrobyt rodziny.

Jest jeszcze inny gatunek sztucznych oryginałów.

Ci świadomie hodują swoją oryginalność i strzegą jej pozorów.

Jeden obnosi długie, zwichrzone włosy i zawadiackie krawaty, inny jest roztargniony i nieprzytomny. Tacy dziwacy mają wiele pierwowzorów: jeden jest duchem pokrewny Bethovenowi, inny ma baczki à la książę Józef i jeszcze inny koszulę i melancholię Słowackiego.

Pozer salonowy zaznacza swoją wyjątkową naturę znudzeniem, zblazowaniem, nonszalancją. Czasem oprowadza po ulicach jakieś egzotyczne zwierzę, lub ukazuje się z olbrzymim słonecznikiem w butonierce.

Jeżeli taki pseudo-oryginał jest mało pomysłowy — zadawala się po prostu niegrzecznym zachowaniem: rozmawiając trzyma ręce w kieszeniach i dobiera słów najbardziej wulgarnych.

Ale zarówno ci sztuczni jak i naturalni oryginali zamieniają dom rodzinny na dom wariatów. —

* * *

Ewa uczyniła Adamowi wiele srogich zarzutów.

Wyrok, jaki na kobiety wydał Adam, ogłoszony zostanie w następnym numerze.

Dr M. SKRUDLIK

POLSKIE POMNIKI KONNE

Duch renesansu i posągi konne — to prawie równoznaczne pojęcia.

Jednakże — w stosunku do rozwoju rzeźby, duch ten obudził się za wcześnie. Toteż rozwój posągu konnego w rzeźbie uprzedził posąg fikcyjny, malowany. Pierwszy co do czasu, tego rodzaju posąg pozorny widzimy we freskach katedry florenckiej.

Jest to pomnik Johna Hawkwooda (Giovanni Acuto), kondotiera w służbie Florencji, dzieło malarza Pada Uccello (1397 — 1475).

Całość utrzymywał malarz w barwie bronzu ponadto starał się plastykę konia i człowieka zaakcentować w ten sposób, aby potęgowała złudzenie i patrzącemu narzucała wrażenie odlewu.

Nieco później powstał drugi „pozorny" posąg konny, mianowicie Niccola da Tolentino (Florencja, Santa Maria del Fiore). Twórcą jego był Andrea del Castagno (ur. około 1390, zm. 1457).

Wcześniejszy znacznie od wymienionych pomników konnych fresk Simone Martini (ur. około 1284, zm. 1344)



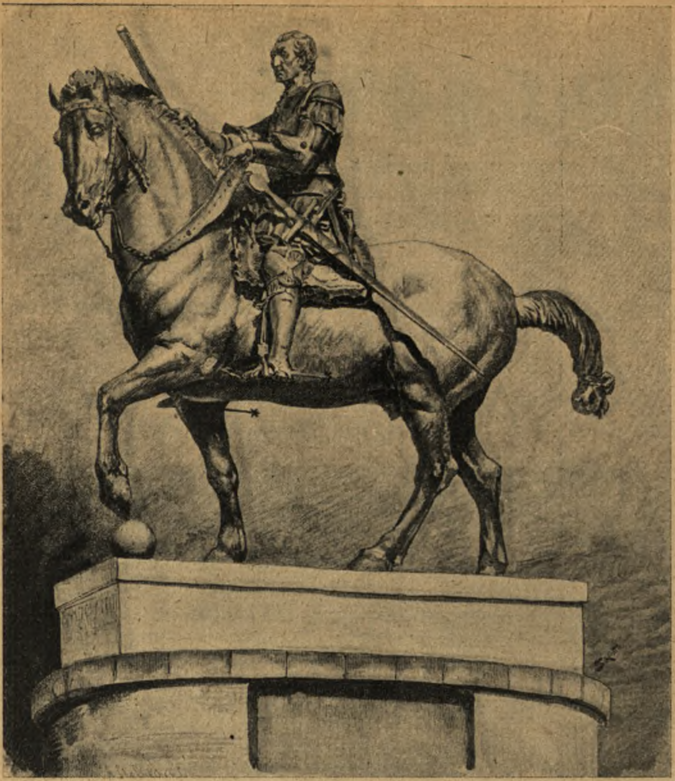
Simone Martini (1284 — 1344). Portret konny Guidoriccia da Fogliano. Siena, Palazzo Pubblico.



Velazguez (1599 — 1660). Książę d'Olivares na koniu. Madryt, Prado.



Velazguez (1599 — 1660). Małgorzata Austriacka. Madryt, Prado.



Donatello (1386 — 1466). Pomnik Gattamelaty. Padwa.



Andrea Verocchio (1435 — 1488). Pomnik kondotiera Colleoniego. Wenecja.

Antoni Coysevox (1640 — 1720). Ludwik XIV. Wersal.



z Palazzo Pubblico w Sienie, przedstawiający wodza sieneńskiego Guidoriccia da Fogliano, jadącego doliną pomiędzy dwoma zamczyskami na ciężkim, pysznie przybranym koniu — jakkolwiek malowany jest bez tendencji upodobnienia całości do pomnika konnego, to jednak „w tym koniu i w tym jeźdźcu czuć już tę samą potęgę, która później tak charakterystyczną stała się cechą konnych pomników Donatella i Verocchia" (Chłędowski: Siena).

W siedemnaście lat po powstaniu pierwszego konnego pomnika fikcyjnego, wzniósł Donatello (1386 — 1466) w Padwie pierwszy rzeczywisty posąg konny Gattamelaty — a w kilkanaście lat później powstał słynny Colleoni, najwspanialszy posąg konny epoki Quattrocenta, dzieło Andrea Verocchia (1435 — 1488).

Problem gwałtownego ruchu rozwiązał w pomniku konnym uczeń Verocchia, genialny Leonardo da Vinci (1452 — 1519).

Takie były narodziny i etapy rozwoju renesansowego posągu konnego.

Barok przejął w dziedzictwie zamiłowania i upodobania epoki poprzedniej, jednakże nie posiadał już środków materialnych czasów dawniejszych. Była to bowiem epoka powszechnego zubożenia. Żywiołowy rozpęd twórczy tych czasów znalazł ujście w architekturze „pozornej", to jest malowanej. Barok powrócił również do malowanych posągów konnych i szeroko spopularyzował ten rodzaj przedstawień.

Pierwsze pomniki konne w Polsce były malowane i pojawiły się w epoce baroku. Najstarsze sięgają początków XVII stulecia i wiążą się z wojną moskiewską i zdobyciem Smoleńska. Nadwornym malarzem króla Zygmunta III był wenecjanin Tomasz Dolabella († 1650). Z jego to pracowni wyszedł szereg obrazów historycznych oraz miedziorytów, ilustrujących ważniejsze wyda-



Władysław IV na koniu. Miedzioryt Hondiusa według portretu Danckertsa.



Królowa Cecylia Renata na polowaniu. Miedzioryt Hondiusa według portretu Danckertsa.

rzenia z dziejów panowania pierwszego z Wazów na tronie polskim.

Obrazy te zaginęły, znamy je jedynie ze współczesnych kopij i sztychów.

W dwóch miedziorytach, odnoszących się do historii walk o Smoleńsk w r. 1611, widzimy Zygmunta III na koniu, na tle murów zdobytego miasta.

Sposób ujęcia postaci człowieka i konia — jest tutaj wybitnie „posągowy", tnz. wzorem dla malarza były barokowe pomniki konne.

Wysunięcie króla na plan pierwszy, ruch i sposób osadzenia konia, kulisowe zaznaczenie terenu planu pierwszego w formie bazy, plastyczna wyrazistość figur — nadają w sumie kompozycji Dolabelli charakter posągu.

W kompozycji drugiej, w której tle zaznaczył malarz szturm na mury Smoleńska, „pomnikowe" ujęcie postaci króla występuje jeszcze dobitniej skutkiem tego, że Dolabella wprowadził tutaj powalonego moskwicina, leżącego pod kopytami rumaka króla.

Zgodnie z charakterem barokowych pomników malowanych, postać króla w obu rycinach jest wyodrębniona — nie tylko swymi rozmiarami: Nie wiąże się ona bezpośrednio z akcją, rozgrywającą się w tle kompozycji. Sceny, zaznaczone na planie drugim i trzecim posiadają tutaj znaczenie reliefów, które w posągach rzeczywistych umieszczano na ich podstawach.

Zamiłowanie do pomnikowo ujętych portretów konnych — przetrwało czasy Zygmunta III. Kolosalnych rozmiarów portret Władysława IV na koniu zdobił niegdyś pałac Jerzego Ossolińskiego w Warszawie.

W zbiorach Branickich w Suchej zachował się również potężnych wymiarów portret konny Władysława IV na tle Wawelu i szerokich równin, na których czernieją kolumny wojsk.

Velazguez (1599 — 1660). Książę Baltazar Carlos. Madryt, Prado.



Ostatnio wymieniony portret nie jest kompozycją oryginalną, ale nieco tylko zmodyfikowanym powtórzeniem ryciny Wilhelma Hondiusa, wykonanej według obrazu Danckersa.

Danckers należał do tzw. „drobiazgowych” malarzy flamandzko-holenderskich. Był on twórcą szeregu miniaturowych portretów wybitnych osobistości z czasów Władysława IV i Jana Kazimierza.

Jego portreciki konne Władysława IV i Cecylii Renaty posiadały daleko więcej pierwiastków realistyczno-rodzajowych — aniżeli reprezentacyjno-pomnikowych.

„Korektą” kompozycji Danckersa, przeprowadzoną w myśl tradycyj pomników — jest portret Władysława IV z Suchej.

Portrety konne Jana III cieszyły się u nas ogromną popularnością: Był to ulubiony typ wizerunków Sobieskiego, rozpowszechniony w miedziorytach po całej Polsce. Stwierdza to Kazimierz Wł. Wójcicki, opisujący życie w starych dworach szlacheckich:

„W kancelarii, obszernej izbie, na ścianie obraz Boga-Rodzicy, a po drugiej stronie sztych w dużych ramach, wyobrażający króla Jana Sobieskiego w rzymskiej zbroi, gdy tratuje w galopie powalonych Turków”. — Wzorem głównym dla tego rodzaju „pomnikowo” ujętych wizerunków Jana III był miedzioryt nadwornego malarza Sobieskiego — Siemiginowskiego.

Kompozycyjne pokrewieństwo tego wizerunku z portretem konnym Zygmunta III — jest całkowite.

Różnica uwydatnia się tylko w strojach i akcesoriach.

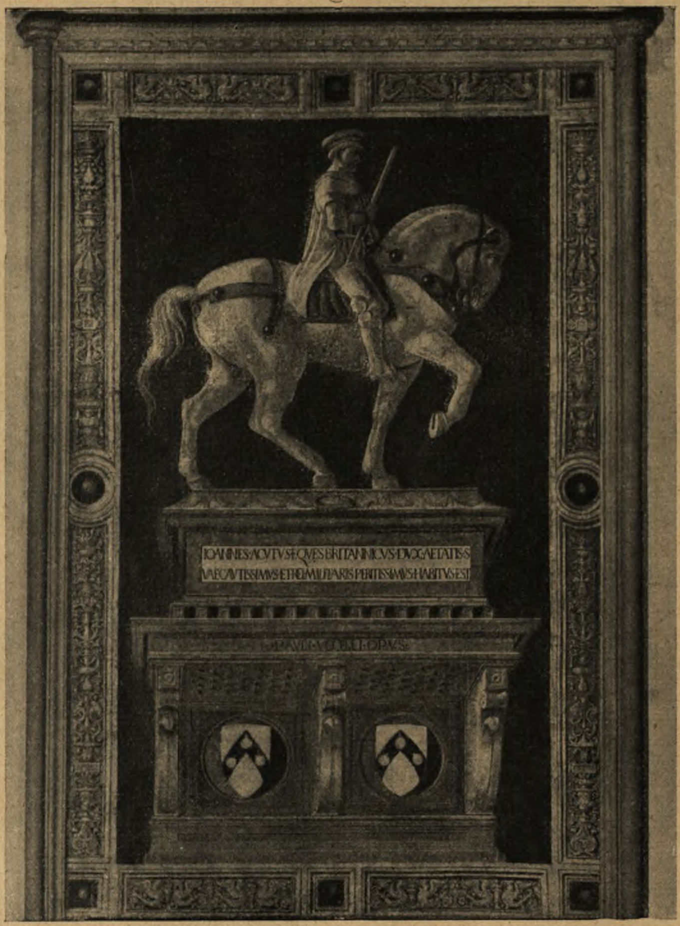
Zygmunt III przybrany jest w swój własny strój rzeczywisty, a Sobieski ma na sobie zbroję rzymskiego heroja.

Różnica ta była rezultatem wpływów włosko-francuskich, przejawem nowego stylu reprezentacyjnego, którego twórcy nie wyobrażali sobie bohaterów i monarchów bez dodatków i akcesoriów pseudo-antycznych.

Pomnikowo ujęty wizerunek Sobieskiego, spopularyzowany w rycinach, wykonanych według rysunków i obrazów Siemiginowskiego, stał się wzorem obowiązującym nawet dla malarzy, wychowanych w zgoła odmiennych tradycjach artystycznych.

Sobieski w „Odsieczy wiedeńskiej” Marcina Altomontego, artysty wychowanego na wzorach rodzajowo-batalistycznych malarstwa neapolitańskiego, jest wiernym powtórze-

Paolo Uccello (1397 — 1475). Malowany pomnik konny kondotiera Giov. Acuto. Florencja, katedra.





Kasper Netscher (ur. 1636 lub 1639, zm. 1684). Królowa Maria Kazimiera na koniu. Wilanów.



P. Puget (1620 — 1694). Aleksander Wielki. Paryż, Louvre.

niem postaci króla z ryciny Siemiginowskiego. Również w drugiej wielkiej kompozycji Altomontego, w „Bitwie pod Parkanami”, ustrojone w antyczne akcesoria postacie króla i królewicza Jakuba, jaskrawo odcinają się od otoczenia, potraktowanego realistycznie. Wyraźna izolacja postaci króla w obrazach Altomontego, wyodrębnienie jej z całości i kompozycji — posiada swe uzasadnienie w dążeniu malarza do nadania jej charakteru posągu konnego.

Posągowa izolacja postaci głównej cechuje zwłaszcza obraz nieznanego malarza z kolegiaty w Żółkwi, przedstawiający „Bitwę pod Chocimem”.

„Posągowo” ujęty jest również Sobieski na koniu we fresku Altomontego z kościoła św. Piotra i Pawła w Krakowie i w innym obrazie tegoż malarza, przechowywanym w kościele parafialnym w Bejscach (św. Marcin na koniu, dający część płaszcza ubogiemu — u spodu kompozycji widzimy króla Jana III na koniu).

Tradycje pomników konnych wyraźne są również w obrazie Melchiora Widmara (zm. 1701) w Muzeum im. Jana III Sobieskiego we Lwowie, przedstawiającym odsiecz Wiednia, a pochodzącym z pałacu Elti w Genui. W stylu heroiczno-pomnikowym utrzymane są także płaskorzeźby, pomieszczone na fasadzie pałacyku z Wilanowa (1674 — 1692).

Źródłem inspiracyj dla twórców heroizujących pomników konnych epoki Ludwika XIV i Jana III — był „Cesarz Konstanty na koniu” (Watykan, Scala Regia) Lorenza Berni'ego (1598 — 1680).

Heroiczny portret konny Sobieskiego, wykonany w mozaice według rysunku J. E. Siemiginowskiego, posiadał niegdyś klasztor kapucynów w Warszawie.

Nawet malarze mieszczańskiej Flamandii XVII w. odtwarzali z zamiłowaniem w drobiazgowej, miniaturowej technice — wizerunki konne. Do tego rodzaju flamandzkich wizerunków konnych należą portreciki Jana III i Marii Kazimiery — z Wilanowa oraz portreciki królewiczów Konstantego i Aleksandra Sobieskich (obecnie własność Ludwiki hr. Sobańskiej w Warszawie.

Flamandia drugiej połowy XVII w. żyła pod znakiem dworskiej etykiety hiszpańskiej. Portreciki z

Hetman Jan Sobieski w bitwie pod Chocimem, miedzioryt R. Hooge.



Kasper Netscher (ur. 1636 lub 1639, zm. 1684). Król Jan III na koniu. Wilanów.



Andrea del Castagno (1390 — 1457). Malowany pomnik konny Marrucciego da Tolentino. Florencja, katedra.





Tomasz Dolabella († 1650). Zygmunt III pod Smoleńskiem. Miedzioryt z r. 1611.

Wilanowa i ze zbiorów hr. Sobańskich są to w miniaturowej technice — powtórzone portrety konne Velazgueza.

Wielki portrecista madryckiego dworu, twórca *rodzinnych* wizerunków domu panującego, w których wszelka reprezentacyjność była zbyteczna i nie na miejscu,



Apoteoza zwycięstwa króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem. Miedzioryt Karola de la Haye według rysunku Jerzego Eleutera Siemiginowskiego.

w portretach konnych pozwalał sobie na pewnego rodzaju wystawność i zaznaczał to w geście, ruchu i stroju.

Takie są jego portrety Filipa III, Filipa IV, książąt Baltazara Carlosa i Olivaresa oraz Małgorzaty Austriackiej.

We wszystkich wymienionych portretach męskich widzimy ten sam typ konia, tęgiego, rosłego, zawsze podobnie osadzonego na zadnich nogach.

Jedynie w portrecie Małgorzaty rumak stąpa powoli, podnosząc lekko przednią nogę.

Podobieństwo stylu, układu, ruchu i strojów w tych portretach oraz w wizerunkach konnych królowej Marii Kazimiery i królewiczów Sobieskich jest najzupełniejsze.

Wzorem dla portretów królewicza był portret Baltazara Carlosa, a wizerunek Marii Kazimiery jest wiernym naśladownictwem portretu Małgorzaty. W ten sposób, za pośrednictwem Flamandii zawitały do nas wzory dworskiego malarstwa hiszpańskiego, czerpiącego w tym wypadku — również z tradycji pomników konnych.

Portrety konne pary królewskiej z Wilanowa są to typowe reprezentacyjne wizerunki w stylu epoki współczesnej, przełożone na miniaturową, drobiazgową technikę flamandzko-holenderską, posiadające miłe, właściwe malarstwu tego kierunku wartości kolorystyczne.

Portrety te oglądane w reprodukcji fotograficznej narzucają wyobraźni całkiem nie odpowiadające rzeczywistości przekonanie o ogromie postaci, w istocie zaś są to typowe, gabinetowe obrazki.

Na odwrocie obu portrecików nalepiono w nowszych czasach napisy, podające Kaspra Netschera jako ich twórcę. Jest to definicja bardzo prawdopodobna.

Kasper Netscher był z pochodzenia Niemcem.

Koleje jego życia są mało znane. Według jednej wersji urodził się w Heidelbergu, według innej w Pradze czeskiej, w r. 1636 lub 1639. Ojciec jego Jan miał być rzeźbiarzem, natomiast Józefowicz w recenzji „Słownika malarzy polskich" Rastawieckiego twierdzi, że Jan Netscher umarł w Polsce jako inżynier wojskowy w służbie Jana Kazimierza.

Wszyscy biografowie Netschera, przy całej rozbieżności w opisach jego życia, zgodni są z tym, że nie czynią najmniejszej wzmianki o pobycie jego w Polsce.

Kasper Netscher kształcił się podobno początkowo w Bordeaux, następnie we Włoszech, w końcu osiadł na stałe w Holandii i zamieszkał w Hadze.

Zasłynął jako twórca miniaturowych portrecików i gabinetowych obrazków treści rodzajowej, opracowanych sumiennie, jaśniejących świeżym, miłym kolorytem.

Z szczególnym zamiłowaniem odtwarzał grę światła na przedmiotach, materiałach, połysk jedwabi i aksamitów.

Dowodów archiwalnych, które by w sposób niezbity stwierdzały, że obrazy z Wilanowa są istotnie dziełem Netschera — nie posiadamy, zaznaczyć jednak należy, że technicznie i kolorystycznie są one malarzowi temu bardzo bliskie.

Netscher umarł już w r. 1684 — ale też obrazy wilanowskie są bardzo wczesne, Sobieski i Marysieńka przedstawieni są tutaj w rozkwicie życia, zapewnie w rok po koronacji, lub w najbliższych latach następnych.

W zbiorach Zielińskiego w Kielcach znajdowały się dwa konne portreciki, „bardzo starannie wykończone", królewiczów Konstantego i Aleksandra. Obrazy te są

obecnie własnością Ludwiki hr. Sobańskiej w Warszawie.

Właściciel zbiorów kieleckich uważał je mylnie za dzieła Kaspra Netschera; w rzeczywistości obrazy te powstały, jak świadczy wiek królewiczów, po r. 1684, czyli Netscher nie mógł być ich twórcą.

Jednakże ocena Zielińskiego nie była pozbawiona pewnych podstaw: Są to bowiem portreciki bardzo pokrewne wilanowskim, wykonane tak samo w miniaturowej, drobiazgowej technice malarstwa flamandzko-holenderskiego z ostatniej ćwierci XVII wieku.

Polskie portrety konne, którym początek dał u nas wenecjanin Dolabella — były echem tradycji renesansu.

W Polsce, w której pojęcia — rycerz, wojownik, identyfikowały się z pojęciem — kawalerzysta — tradycja ta napotkała na grunt dla siebie szczególnie podatny.

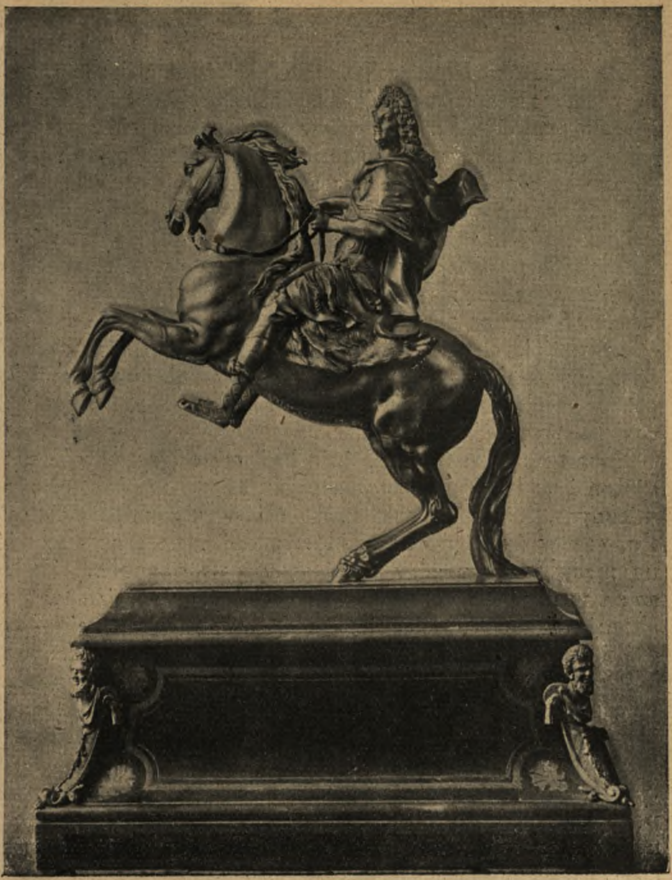
W latach panowania Jana III typ portretów konnych upowszechnił się szeroko — i stał się na długie lata wzorem obowiązującym dla wizerunków Sobieskiego.

Z tradycji tej czerpał jeszcze Franciszek Pinck, twórca posągu Jana III z Łazienek, odsłoniętego w r. 1788, tzn. rzeźbiarz ten ujął postać króla podobnie, jak to uczynił Siemiginowski, jako rzymskiego heroja.

W tym typie wizerunków króla streszczała się w ówczesnych pojęciach i przekonaniach cała epopeja wojenna Jana III.

Z tradycji tej czerpał jeszcze Michał Stachowicz (1768 — 1825), jak świadczy o tym jego „Sobieski na koniu" (niegdyś własnie Kazimierza Siedleckiego).

Przypomnieć tu należy, że jak podaje J. K. Rubinkowski w swym panegiryku „Janina", opisującym triumfalny powrót króla z wyprawy wiedeńskiej i uroczyste powitanie zwycięzcy w Krakowie, istniały w Polsce projekty wzniesienia Sobieskiemu pomnika.



Desjardins-Martin van den Bogaert (1639 — 1694). Ludwik XIV, Wersal.



Bernini (1598 — 1680). Konstantyn Wielki. Rzym, Watykan.



Franciszek Pinck. Posąg Jana III Sobieskiego w Łazienkach.

FILM A KULTURA

„Osservatore Romano" w art. „Il cinema come messo di propaganda culturale" rozwija myśl, że działanie filmu na życie kulturalne człowieka odbywa się w trzech kierunkach: przez formowanie idei i przez oddziaływanie na wyobraźnię oraz przez kształcenie poczucia piękna. Film ma swój język, swoje symbole, swoją gramatykę i swój odrębny wyraz oddziaływania w skrótach i obrazach na duszę widza. Jest to wpływ potężny, choć niedostrzegalnie rozwijany. Człowiek, oglądający coraz to nowe obrazy filmowe, nie uświadamia sobie najczęściej w jak silnym stopniu władze jego duszy wchłaniają nowe skojarzenia pojęć, nowe wrażenia, uderzające w najgłębsze motywy woli, które kształtują jego osobiste życie.

Poza tym film w dziedzinie kultury odgrywa rolę specjalną i ze względów społecznych, czy to w życiu ekonomicznym, formując całą nową olbrzymią gałęź przemysłu, czy w życiu politycznym, rzucając poteżne sugestie na masy przez z góry uplanowaną propagandę. Zwłaszcza w naszych czasach rządy i kierownicy państw posługują się coraz więcej filmem w celu urabiania psychiki zbiorowej dla konkretnych posunięć politycznych. Wszystkie ważniejsze gałęzie kultury, jak sztuka, nauka a przede wszystkim światopogląd religijny, podlegają w naszych czasach już w wielkim stopniu wpływom systematycznie organizowanej kinematografii.

Toteż nic dziwnego, że ludzie, niosący na sobie odpowiedzialność za ten czy inny kierunek kultury społecznej, zastanawiają się nad praktycznymi sposobami ujęcia w karby kontroli produkcji kinematograficznej. Na przykład we *Francji istniejąca cenzura filmowa przewiduje następujące restrykcje:* Po pierwsze, zabronione są filmy o tendencjach ośmieszających armię lub pomniejszających jej prestiż; powtóre nie wolno wyświetlać filmów, uwłaczających godności obcych państw, a tym samym mogącym wywołać konflikty dyplomatyczne; po trzecie filmy, gloryfikujące zbrodnie, użycie gwałtu, przedstawiające aferzystów i kryminalistów, są również we Francji przez cenzurę konfiskowane. Oczywiście ze względów politycznych nie dopuszcza się tam ponadto filmów, usiłujących przefiltrować do świadomości mas tendencje, związane z reżimem sowieckim, dyktatorskim lub posiadającym takie czy inne cechy wywrotowe (por. Censure du Film par Edmond Sée).

Jednak dla podniesienia poziomu kulturalnego w kinematografii nie wystarczą tylko represje i cenzura. Należy pozytywnie wskazać, w jakim kierunku film powinien się rozwijać, aby mógł dobroczynnie oddziałać na poziom umysłowy i moralny tych milionów widzów, którzy po każdorazowym wyjściu z sali kinowej, wnoszą do codziennego życia nowe pojęcia i nowe pragnienia, związane z sugestywnym działaniem obrazów, przewijających się na ekranie... Pod względem wartości kulturalnej filmów należy rozróżniać wytwórczość kinematograficzną w zależności przede wszystkim od danego kraju. W Stanach Zjednoczonych np. olbrzymi rozmach kinematografii posiada specyficzny charakter, ściśle związany z psychiką tamtejszego społeczeństwa. A więc to, co charakteryzuje mentalność amerykańską, jak brak głębszej tradycji państwowej i narodowej, brak jedności religijnej, hegemonia w życiu społecznym czynników materialnych oraz naturalna tendencja do uwielbiania techniki, masy i liczby... Stąd filmy amerykańskie w pierwszym rzędzie usiłują wywołać efekt oparty na technicznej okazałości i ogromie nagromadzonych wrażeń. Oczywiście w takich wypadkach finezja samej ideologii, zawartej w scenariuszu filmowym schodzi na drugi plan... Mamy wprawdzie i amerykańskie obrazy pełne głębi ideowej, ale na ogół produkcja tamtejsza filmowa usiłuje wysunąć się na czoło za pomocą przewagi technicznej (por. Screen Writers Guild of America).

W innych krajach, jak np. w Rosji sowieckiej i w III Rzeszy Hitlera, decydującą rolę w wyświetlanych filmach odgrywają momenty propagandowe natury popolitycznej. Używa się tam wszelkich środków, aby zachwalić dobrodziejstwa panującego reżimu. Oczywiście, że przy takich tendencjach nieraz walory artystyczne filmu są pomniejszane i że zatraca się umiar i obiektywizm w sposobie poruszanych na filmie zagadnień życiowych.

Jakież tedy powinien posiadać cechy film prawdziwie odpowiadający wymogom kultury? Przede wszystkim treść obrazów filmowych nie powinna być narzucana przez niemoralną i kłamliwą tendencję, schlebiającą niskim instynktom mas lub z góry określoną zarządzeniami panującej grupy ideologią polityczną. Następnie, film powinien mieć na względzie szlachetną rozrywkę, ale i użyteczność, co może powstać wówczas, jeżeli widz oglądający obraz na ekranie, czuje się przez to podniesiony moralnie, lub wzbogacony w zasób nowej wiedzy. Wreszcie film będzie odpowiadać wymogom kultury, jeżeli nie postawi ponad racje ideowe względów merkantylnych i jeżeli nie posunie się do pogłębienia zamętu w świadomości zbiorowej, lecz przeciwnie, jeżeli wniesie do przeżyć społecznych nowe skojarzenia wyobrażeń, zmierzające do celów najważniejszych życia ludzkiego (por. „Pour un cinéma propre").

Są producenci, którzy twierdzą: dajcie nam głośne imię autora scenariusza filmowego, fascynujące gwiazdy filmowe, lub tytuł frapujący — a o resztę nie dbamy!... Produkcja filmu kosztuje tak drogo, że musimy przede wszystkim liczyć się z upodobaniem mas... Nie możemy sobie pozwolić na żadne uboczne propagandy ideowe!... Czy taki punkt widzenia jest słuszny? Oczywiście nie! Ponieważ upodobania mas zależne są od umiejętnego oddziaływania na psychikę zbiorową, przynajmniej w wielkim stopniu, czyli od wychowania tych mas. I właśnie zadaniem filmu jest kształcić to poczucie smaku i upodobania przeciętnego widza. Byłoby błędem psychologicznym przypuszczać, że tylko taki film może mieć powodzenie, który schlebia instynktom. Doświadczenie wykazuje, że nieraz obrazy o wysokiej tendencji moralnej i ideowej, ale utrzymane na wysokim poziomie artyzmu, „robią najlepszą kasę". Nawet przeciętny „szary" widz jest najbardziej zadowolony wówczas, gdy daje mu się naprawdę film wzniosły i wielki pod względem treści, ale skonstruowany z taką prostotą i maestrią, że przenika do władz duszy widza, wzrusza je i uszlachetnia, niemal niepostrzeżenie dla niego samego.

Iluż to jest takich ludzi, szanujących wymogi kultury, ale odczuwających w swym życiu pustkę duchową, którzy przez wartościowe pod względem moralnym i z wielkim artyzmem wykonane filmy, przeżyli zbawienny wstrząs psychiczny... Tendencja szyta „grubymi nićmi" i niezdarnie, zawsze wywołuje u subtelnych widzów raczej niechęć... Ale przedstawienie prawdy życiowej i wzniosłej moralnej idei w taki sposób, by konkluzje dobroczynnie oddziaływujące na życie duchowe widz własnym wysiłkiem woli i własną inteligencją zdołał wyciągnąć z widzianych na filmie obrazów — taki proces techniki i dydaktyki filmowej zawsze będzie posiadał w życiu kulturalnym olbrzymie znaczenie.



ZE SPRAW RODZINY

Na szerokim świecie.

W zeszłym numerze podaliśmy memorandum M. U. Katol. Lig Kobiecych do ustawodawstwa kobiecego Ligi Narodów, podpisane przez przewodniczącą M. U. K. L. K. panią Steenberghe Eugerinh — dziś podajemy urywek z opracowanej przez nią deklaracji Katolickich Lig Kobiecych pt. „Zasady katolickie w życiu rodzinnym".

W deklaracji czytamy, co następuje:

„Ponieważ rodzina jest najstarszym ze wszystkich związków społecznych, przeto prawa jej i obowiązki nie mogą pochodzić od państwa. Popełniają przeto wielki błąd ci, którzy usiłują doprowadzić do tego, aby władza świecka mogła dowolnie mieszać się do najświętszych praw rodziny i rozstrzygać je (Leon XIII, encyklika „Rerum novarum"). Jasnym jest przecież, że jeżeli związek małżeński został podniesiony do godności sakramentu, to wszystko, co ma organizować i rządzić małżeństwem chrześcijańskim, nie należy już do władzy świeckiej, lecz do Boskiej władzy Kościoła, gdyż tylko on ma prawo rządzenia tymi świętymi sprawami (Leon XIII. „Arcanum").

„Jeden jedyny Kościół może ustalić przeszkody, czy to zezwalające, czy to unieważniające małżeństwo. Sprawy sądowe w dziedzinie małżeństwa, zawartego między ochrzczonymi, odnoszą się ściśle i wyłącznie do trybunału kościelnego (Kod. I. C. 1960). Sakrament małżeństwa, mając na celu zachowanie i pomnożenie społeczeństwa, jest przeto związany z pewnymi skutkami, które podlegają prawom świeckim (Leon XIII. Enc. Arcanum.) Zupełnie słuszną jest przeto rzeczą, by władza świecka rozstrzygała i decydowała w sprawach, związanych ze świecką stroną małżeństwa. Lecz zatwierdzając te sprawy, powinno prawo cywilne uznawać ważność lub nieważność małżeństwa zgodnie z postanowieniami Kościoła. Z zasad tych wynika, że wszyscy ochrzczeni w Kościele katolickim, lub nawróceni, żyjący w związkach małżeńskich, na skutek zwykłej umowy według form cywilnych prawnych, bez zawarcia religijnego małżeństwa, żyją w publicznym konkubinacie, pociągającym za sobą wykluczenie pewnych aktów, określonych przez prawo kościelne (C. 1099). Z drugiej zaś strony chrześcijańscy małżonkowie powinni przestrzegać praw świeckich, by nie pozbawiać swego małżeństwa prawnych skutków świeckich i nie wywoływać nieporozumień".

* * *

Wielkie wrażenie w dziedzinie zagadnień rodzinnych wywołało przemówienie przez radio „pierwszej lady Ameryki", p. Roosevelt. „Rozmowa" przez radio miała miejsce w formie krótkiej dyskusji z panną Schnoidermann, przewodniczącą Ligi Związków Kobiecych („Women's Trade Union Leagne) i sekretarką departamentu pracy stanu nowojorskiego. Pani Roosevelt postawiła zasadę, że kobiety, które pozostają w domu i oddają się zajęciom domowym powinny za tę pracę pobierać wynagrodzenie. Ale również zauważyła pani Prezydentowa, że dzień pracy nie powinien być ograniczony do 8 godzin, gdy chodzi o zapewnienie nie tylko bytu, ale i dobrobytu dzieciom.

Komentarze pism lewicowo-masońskich przedstawiają sprawę w nieco innym oświetleniu. „Paris-Soir" w nr. z dn. 15 maja 1937 r. mówi o konieczności obrony kobiety przed wyzyskiem ze strony męża, o odpowiednim wynagrodzeniu, o zastosowaniu ośmiogodzinnego dnia pracy. Wszystko to wkłada w usta „pierwszej lady Ameryki".

Na skutek artykułu w „Paris-Soir", pisma lewicowe „L'Oeuvre" i „La Française" rozpoczęły kampanię za wynagrodzeniem dla kobiet, zajmujących się domem. Wynagrodzenie to miało być wypłacane bądź przez męża, bądź przez państwo. „La Française" idzie tak daleko, że obarcza wypłatą nie męża, a państwo za spełnianie tej państwowej funkcji. Generalna Konfederacja Pracy (C. G. T.) przyjęła następującą rezolucję: Kobieta powinna móc wybrać, szczególniej o ile jest matką, pomiędzy pracą zarobkową, a funkcjami matki, które winny być uznane jako funkcja społeczna. Wobec tego Konfederacja Generalna Pracy żąda poza płacą wyrównawczą dla rodzin (Allocation Familiale) również płacę dostateczną, która by zwalniała kobiety od szukania dodatkowego zarobku. Co do tego ostatniego punktu, to jesteśmy zgodni, jak zresztą nieraz to podnosiliśmy.

W sprawie powyższej Międzynarodowe Centrum Dokumentów: „Matka w rodzinie czynnikiem postępu ludzkości" wydało komunikat następujący:

„Jeżeli zarobki ojca są niewystarczające, to jest rzeczą słuszną, aby były o tyle podniesione, o ile matka pozostaje w domu dla wykonywania swoich obowiązków rodzinnych. Ale *płacić matkę* za jej czynności przy ognisku domowym, to byłoby traktowanie jej jako najemnicę, a zatem zmniejszyć należny jej w rodzinie szacunek. Jest rzeczą niedopuszczalną, aby jeden z małżonków płacił drugiego, za usługi otrzymywane.

Rodzina tworzy całość, i każdy z małżonków wnosi swoje wysiłki do wspólnego dzieła; matka jako gospodyni, wspólniczka, wychowawczyni itd., mężczyzna, spełnia swoje obowiązki ojca, dostarczając przez swoją pracę wystarczające środki na utrzymanie rodziny. Któż jest tym, który wnosi więcej od drugiego do tej spółki? W tej spółce może być i powinna być równość.

Wynagrodzenie otrzymywane przez mężczyznę jest w stosunku prostym do wartości jego pracy; ale również wynagrodzenie to bierze pod uwagę jego płeć i obowiązki, które normalnie powinien wykonać. W ten sposób wynagrodzenie za pracę jest wynagrodzeniem nie tylko osobistym, ale i rodzinnym, i ten mężczyzna, który wynagrodzenie to nie zużywa na utrzymanie rodziny, *gwałci przeznaczenie zarobku* i popełnia niesprawiedliwość.

Również jest rzeczą niedopuszczalną, aby państwo płaciło matkę, tak jak gdyby macierzyństwo było funkcją społeczną, tj. czynnością zależną od wszechwładzy państwa w zasadzie i wykonaniu.

Małżeństwo dobrowolnie zawarte jest *prawem osobowości* ludzkiej; macierzyństwo, które jest jego skutkiem, jest niewątpliwie o tyle *czynnością społeczną*, że dostarcza społeczeństwu nowych członków. Społeczeństwo winno się wywdzięczyć przez opiekę nad rodziną, *ale musi uznać prawo* tej małej, podstawowej grupy społecznej, jaką jest rodzina, gdyż jest ona starszą od państwa i ma swoje własne uprawnienia życiowe.

Twierdzenie, iż macierzyństwo jest funkcją społeczną, a zatem winno być przez państwo przygotowane, zapłacone, kontrolowane i zatwierdzane, jest niczem innym, jak zapoznaniem prawa rodziny i prawa człowieka; jednym słowem *jest to zsocjalizowanie macierzyństwa,* odbierające małżeństwu jego godność, rodzinie jedność, małżonkom dar wzajemności, który winien być wolny, pełny i niezmienny.

Natomiast trzeba zaradzić nadużyciom, które niewątpliwie w pewnej ilości rodzin mają miejsce. Nie należy jednak naprawiać niszcząc życie rodzinne przez ingerencję państwa, rozwijać egoizmu w wykonywaniu

obowiązków rodzinnych, brutalnie wynagradzanych.

Środki zaradcze przeciw nadużyciom znajdą się w umocnieniu szacunku dla osobowości ludzkiej i w uznaniu wszelkich przesłanek religijnych i duchowych, które są jego podstawą. Środki zaradcze będą również w ustawach prawnych i społecznych, które winny się odnosić z szacunkiem do kobiety i jej słusznych praw, oraz *praw rodziny* — rodziny stałej, płodnej i wolnej, takiej, która jest właściwą podstawą wszelkiego życia społecznego".

Jesteśmy wdzięczni p. Butillard, kierowniczce Międzynarodowej Centrali Dokumentów, za przesłanie nam tak dobrze sformułowanego stanowiska katolickiego w powyższej sprawie.

W Polsce.

Ogłoszone zostały potwierdzone przez Stolicę Apostolską teksty łaciński i polski uchwał Polskiego Pierwszego Synodu Plenarnego, odbytego w Częstochowie w 1936 roku. Uchwały te w liczbie 151 podzielone są na 15 rozdziałów.

W rozdziale pierwszym zawarte są zasady ogólne, według których uchwały Synodu Plenarnego obowiązują duchowieństwo i wiernych.

Rozdział II i III dotyczy duchowieństwa świeckiego i zakonnego. Rozdział IV traktuje o katolikach świeckich. Między innymi:

„Uchwała 58. Katolicy powinni się wystrzegać zażyłych stosunków z odstępcami od wiary i z tymi katolikami, którzy *żyją w nielegalnym związku małżeńskim.*

„Uchwała 59. Synod Plenarny wzywa rodziców i opiekunów, aby pacierz codzienny odmawiali wspólnie z dziećmi. Uchwała 60. Wierni powinni poczytywać sobie za obowiązek i zaszczyt popieranie i podtrzymywanie przedsięwzięć i dzieł parafialnych.

„Uchwała 62. Obowiązkiem wiernych jest współpracować z duchowieństwem nad zachowaniem wiary i dobrych obyczajów. W tym celu katolicy: a) będą szerzyli zasady nauki katolickiej oraz przeciwdziałali przede wszystkim bezbożnictwu, wolnomyślicielstwu, obojętności religijnej, sekciarstwu, laicyzmowi, oraz walce z Kościołem i jego hierarchią; b) będą bronili przykładem, słowem i pismem etyki chrześcijańskiej, przeciwstawiając się bądź obniżaniu moralności w prywatnym i publicznym życiu, bądź propagandzie etyki sprzecznej z prawem Bożym, oraz zwalczając niemoralność w literaturze, teatrze, kinematografie i radio; c) *będą bronili nierozerwalności małżeństwa, czystości pożycia małżeńskiego i świętości rodziny*, a przeciwstawiać się zasadom przeciwnym i zgubnym *dla rodziny*, zwłaszcza *błędnym pojęciom o małżeństwie*, propagandzie eugeniki zarażonej materializmem, niemoralnemu ograniczaniu potomstwa oraz teoriom lub ustawom, broniącym lub dopuszczającym spędzanie płodu; d) będą popierali według zasad katolickich akcję, zwalczającą nadużywanie alkoholu i narkotyków.

„Zarówno kapłani jak i świeccy, a zwłaszcza krewni, powinni dbać o to, aby osoby zagrożone śmiercią z powodu choroby, starości lub ciężkiej operacji chirurgicznej, zostały zaopatrzone Sakramentami św., dopóki są zupełnie przytomne" (uchwała 93). „Synod Plenarny gani i *potępia małżeństwa*, które katolicy ośmielają się zawierać z pogwałceniem przepisów Kościoła, jako też *rozwiązywanie małżeństw* katolickich przez sądy świeckie i sądy innych wyznań" (uchw. 94).

„Uchwała 122. Na mocy prawa przyrodzonego i uroczystych orzeczeń papieskich, a zwłaszcza na mocy encyklik o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży, rodzice katoliccy powinni się domagać, aby ich dzieci kształciły się w katolickich szkołach wyznaniowych. Zanim szkoły wyznaniowe utworzone zostaną, Synod Plenarny nalega, aby wierni z prawa i obowiązku domagali się, by nauczanie w obecnym ustroju szkolnym odpowiadało w całości zasadom nauki katolickiej i aby młodzieży nie narażano na szkody religijne i moralne przez niestosowną koedukację, przez łączenie młodzieży katolickiej z żydowską i przez powierzanie wychowania młodzieży katolickiej nauczycielom innowiercom".

* * *

Niedawno odbył się w Warszawie kongres mieszkaniowy, który ponownie zwrócił uwagę społeczeństwa na tę klęskę społeczną, jaką jest brak mieszkań i na skutki stąd płynące. Sprawa mieszkaniowa nie tylko się w Polsce nie poprawia, ale na ogół się pogarsza. Sięgnijmy do Małego Rocznika Statystycznego i do cyfr w nim zawartych. Otóż pomiędzy rokiem 1921 a 1931 średnia ilość osób w mieszkaniach jednoizbowych wzrosła: w Warszawie z 3,7 do 4,0, w Łodzi z 3,6 do 3,8, we Lwowie z 3,2 do 3,4, w Poznaniu z 2,7 do 3,3 i tylko w jednym Krakowie (spośród 5 większych miast, co do których podano cyfry porównawcze) pozostała bez zmiany na poziomie 3,5. Sytuacja mieszkań 2-izbowych poprawiła się w Łodzi i Krakowie, ale pogorszyła w Poznaniu (w Warszawie i Lwowie nie uległa zmianie), a dopiero w 3-izbowych i większych znajdujemy we wszystkich miastach pewną poprawę, lub przynajmniej brak pogorszenia.

Więc nie tylko w samej Warszawie jest kryzys mieszkaniowy. Jest on prawie we wszystkich większych miastach. A przyczyna? Za małe budownictwo. W Warszawie w okresie 1921 — 1931 przybyło 230 tys. ludności, ale z tego przeszło 190 tys. przypadło na ludność najuboższą, mieszkającą w mieszkaniach jedno i dwuizbowych — tych mieszkań zaś buduje się za mało. I to samo jest prawie wszędzie. Poprawiła się tylko sytuacja — ale i to jeszcze w wielu wypadkach nie wystarczająco — w stosunku do mieszkań większych.

Normalne warunki mieszkaniowe są niezbędną podstawą normalnych stosunków rodzinnych.

Zofia Jankowska.

Z TEATRU

O ile francuska farsa pokpiwa sobie złośliwie zarówno z miłości jak i małżeństwa, o tyle angielska komedia uczyniła zeń wdzięczny wątek dla humoru, żartu — owszem — ale i głębszego znaczenia. Niemałą zasługę położył w tej mierze ni mniej, ni więcej, tylko socjalistyczny pisarz G. B. Shaw, autor świeżo wydanego „Przewodnika dla kobiet po socjalizmie". Bodaj wkrótce po swej debiutanckiej powieści „Socjalista na ustroniu", tj. prawie pół wieku temu, napisał on sztukę „Candida", świeżo teraz wznowioną przez Teatr Malickiej.

Sztuka Shawa pod pierwszym wrażeniem czyni wrażenie nieomal peanu na cześć słodyczy i korzyści małżeństwa i ogniska domowego. Ogień płonący na nim, ogień uczuć jest naprawdę autentyczny. (Baczność, literaci autentycy!).

Czołowa bohaterka Candida to typ zdrowej, młodej kobiety, umiejącej swą wewnętrzną urodą, blaskiem swej bogatej, hojnej natury rozpromienić i wzbogacić środowisko, w którym się znalazła. Jest to mocny i zdrowy człowiek z uśmiechem przychylnym, niemal samarytańskim, a na pewno macierzyńskim, traktujący braki swego otoczenia. Candida potrafi więc z całą łatwością pogodzić się z losem żony pastora i pod jego oschłością pewną doszukać się zalet prawdziwego mężczyzny. Ostatecznie obojętnie jest czy nosi się halstuch, czy krawatkę, grunt stanowi dusza. A dusza pastora Morella, mimo splątania w niej najróżnorodniejszych motywów, od teologii aż do poezji włącznie, dusza ta ma przecież aż nadto rysów miłych i pociągających, dominuje w niej zwłaszcza ten ojcowski, autorytatywny ton i rys, który pozwala ludziom na takim stanowisku należycie wypełniać ich trudne zadanie przewodników duchownych.

Niewątpliwie więc szczęście domowego ogniska Morella zbudowane jest z trwałych, choć zapewne prostych, niewyszukanych elementów. Ale właśnie w ich prostocie tkwi pewność jego nienaruszalności, niewzruszoności. Próżny jest więc zamach młodego poety, Marchbanksa, wymierzony w całość domu i małżeństwa Morellów. Osiemnastolatek ten, epigon romantyzmu, czy bodaj jeszcze pogrobowego symbolizmu, nie ma ani w swej poezji dość ognia, ani w samym sobie dość doświadczenia, by zdobyć coś więcej w sercu pani domu od pobłażliwego uczucia macierzyńskiego.

Czołową postać Candidy kreowała p. Maria Malicka. Natchnęła ją wdziękiem młodości, szczerości uczucia. Wniosła na scenę czar zdrowia i prostoty, zwyciężającej jednym uśmiechem drobne przeszkody, nieporozumienia. Duży dialog z mężem przy kominku, przynoszący zresztą swą konstrukcją zaszczyt autorowi, w jej interpretacji zabłysnął całym swym pięknem.

W tym dialogu rozgrzała nawet swego czcigodnego męża-pastora, którego z nadmierną może surowością odtworzył Nowacki. Lecz godnego siebie partnera znalazła właściwie dopiero w Zawistowskim, który umiał otoczyć rolę poety aureolą nieprawdopodobieństwa.

Galerię dalszą postaci odtworzyli, wulgarnego burżuja Burgessa — Baj-Ryszczewski, mis Garnett, tokującą starą pannę — Cieszkowska, wikarego Milla — Modrzewski.

Rosyjskie studio dramatyczne wystawiło sztukę M. Ałdonowa pt. „Linia Brunhildy".

Historia rozgrywa się w zapadłym miasteczku ukraińskim, które znalazło się w potrzasku między dwoma liniami, niemiecką i bolszewicką. Ale w tej atmosferze wojennej grozy życie się toczy dalej. Nawet teatr robi próbę „Pięknej Heleny". Za kulisy tego teatru dostajemy się, by zapoznać się z jego nerwową aurą, z której rodzi się burza erotycznego konfliktu między oficerem niemieckim a młodym Rosjaninem, rywalizującym o względy aktorki. Niemiec, szczęśliwy partner, nie zadenuncjuje swego przeciwnika. Rosjanin nie skorzysta z możliwości ucieczki, za cenę rezygnacji ze swych uczuć. Aktorka nie przyjmie propozycji małżeństwa z bogatym jegomościem. Słowem koncert szlachetności na psychicznej „linii Brunhildy". Tymczasem jednak wojskowa „linia Brunhildy" padła i całe towarzystwo rozlatuje się, by za lat dwadzieścia spotkać się przy-

padkiem w Paryżu. Główna bohaterka mocno już podtatusiała, prowadzi sobie małą restauracyjkę. Zaczynają się wspomnienia i w pewnej chwili pada okrzyk. „Dobre to były czasy, pamiętacie jak to ledwie wyrwaliśmy się z rąk czerezwyczajki". To zestawienie — mówi samo za siebie.

„Ależ to nie na serio" L. Pirandella w interpretacji reżyserskiej Borowskiego na scenie Teatru Nowego nabrała właśnie cech komedii zbyt na serio. Cały niefrasobliwy, psotny śmiech i uśmiech, w który wyposażył autor tę sztukę, zginął gdzieś prawie bezpowrotnie. Aktorzy poruszali się w atmosferze nieomal makabrycznej. Główna bohaterka, prowincjonalny Kopciuszek zahukany, zabiedzony w pierwotnym tekście, ma prawo do uśmiechu i pewnej radości. Na scenie T. Nowego Flora straciła nawet w interpretacji Z. Lindorfówny cały swój wdzięk.

Podobnie za ponuro potraktował postać lekkoducha, Memmo — Damięcki. Propozycja małżeństwa, którą czyni Florze, w jego ujęciu miała charakter nieomal obelgi, gdy właściwie był to żart wcale wygodną zapewniający pozycję małżonce „nie na serio".

Ale o co właściwie chodzi w tej sztuce. Lekkoduch Memmo zaręcza się co jakiś czas, mniej więcej 12 razy do roku. Czasami odręczanie się sprawia mu niejakie kłopoty. Ot ostatnio dostał w pojedynku z bratem ex-narzeczonej sporą porcję ran. Wylizuje się z nich w pensjonacie, którym zarządza Flora. Aby raz na zawsze zabezpieczyć się od niebezpieczeństw zaręczynowych, postanawia się ożenić i ostentacyjnie nosić obrączkę. Oczywiście ożenić pro forma. Bo w ogóle kobiet ma dość.

Pierwsza lepsza będzie dobra do przeprowadzenia tego zabiegu profilaktycznego. Zatem Flora. Staje układ. Małżeństwo jest zawarte. Flora wyzwala się ze swego piekiełka i osiada w małej willi pod miastem, podarowanej jej w wianie ślubnym. I tu wśród przyjaznego tchnienia natury następuje metamorfoza. Kopciuszek wypiękniał. Nie może nie spostrzec tego Memmo, który tu kiedyś przybył, co prawda z intencją zerwania małżeństwa, jako „ratum, sed non consumatum", zawartego, lecz nie spełnionego.

Oczarowany wdziękiem swej żony, wzruszony jej niespodzianym dlań przyznaniem się, że przecież wśród niepokojów życia zachowała największy skarb kobiety — dziewictwo, postanawia, miast zerwania, dopełnić małżeństwa.

Flora przestrzega go, że to będzie na serio, ale tego właśnie chce Memmo.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Każdy rok z dziejów Kościoła przedstawia niezwykły obraz. Najpotężniejsza na ziemi organizacja, jaką jest Kościół, skupia w sobie jakby emanację duchową całej ludzkości. Można śmiało twierdzić, że syntezę wysiłków ducha ludzkiego w bilansie każdego roku znajdujemy najsilniej wyrażoną w dziejach Kościoła katolickiego. —

Jeżeli chodzi o ubiegły rok 1937, to w historii katolicyzmu zaakcentował się on w dwóch kierunkach, stanowiących pozorny kontrast. Spotęgowanie prześladowania wiary i wzrost autorytetu Kościoła. Trzy tereny jaskrawo uwydatniły metodę prześladowania wiary — Meksyk, Hiszpania i Rosja, a na czwartym Rzesza Niemiecka,



to prześladowanie zostało okryte pozorami nowego kulturkampfu. Wydaje się jednak, że punkt kulminacyjny walki z Kościołem katolickim już mija z wyjątkiem Niemiec. —

W Meksyku, po odruchowej żywiołowej fali antyreligijnej, inspirowanej przez zgraję międzynarodową Kominternu, przychodzi coraz większe otrzeźwienie. Zwyciężają tam elementy świadomie wierne Kościołowi przez swą cichą, heroiczną i wytrwałą postawę, która jeszcze raz potwierdza, że chrystianizm najskuteczniej walczy ze złem, gdy przemocy przeciwstawia cierpliwość, ofiarę i miłość. —

W Hiszpanii — jakiekolwiek będą dalsze losy wojsk generała Franco — jedno wydaje się już pewne, że próba rozpalenia w tym kraju pożogi bolszewickiej nie udała się. Z ognia oczyszczającego rewolucji Hiszpania katolicka wyjdzie wzmocniona. Na wypadki, które się tam rozgrywają należy spoglądać bezstronnie, dostrzegając nie tylko krwiożercze instynkty i rozhukaną podłość ze strony skomunizowanych żywiołów, ale i sprawiedliwą karę, ponoszoną przez niektórych nieuczciwych katolików hiszpańskich. Rozgrywa się tam jeszcze raz dramat znany z dziejów Kościoła, który stwierdza, że zawsze ilekroć w społeczeństwie katolickim odbywały się przez dłuższy czas jaskrawe odchylenia od zasad Chrystusa, przychodziła zasłużona kara i fala cierpienia oczyszczającego.

W Rosji sowieckiej wreszcie prąd prześladowania wiary w ostatnich czasach ulega też zasadniczym przemianom. Społeczeństwo rdzennie słowiańskie na olbrzymich przestrzeniach państwa Sowietów instynktownie, choć powoli i w wielkiej męce, strząsa ze siebie sztucznie narzuconą i obcą duszy słowiańskiej doktrynę Marxa. Już obecnie staje się widoczne, że ruch bezbożniczy w Rosji przechodzi początek swego zmierzchu. Jeszcze dziś masy rosyjskie zahipnotyzowane deklamacją stworzenia raju na ziemi, znajdują się pod urokiem potęgi maszyny i cywilizacji wyłącznie materialistycznej. Ale już nadchodzi czas, kiedy odwieczna tęsknota duszy rosyjskiej, wyrywającej się ku Bogu, przejawi się w wydarzeniach zbiorowych tak niespodziewanych, że wprawią one w zdumienie świat cały (por. Jules Legras „L'âme russa"). Tym bardziej, że pod naporem żywiołowym szerokich mas, obecny wódz Rosji Stalin — choć się do tego formalnie nie przyznaje — odsuwa się coraz bardziej od bolszewików starej daty, fanatycznych wyznawców Marxa, usiłując nadać codziennemu życiu w Sowietach formy bardziej zbliżone do wzorów państw zachodnio-europejskich.

Oczywiście byłoby przedwczesnym twierdzenie, że fala prześladowania religii w Sowietach już się załamała. Ale można przewidywać, że następne lata wykażą tę wiekami stwierdzoną prawdę, że żadne społeczeństwo, które ma pretensje do jakiejkolwiek kultury, bez religii, normującej życie moralne i sumienia obywateli zorganizować się nie zdoła. —

Jeżeli w Meksyku, Hiszpanii i Rosji prześladowanie Kościoła przyjęło formy jaskrawe i brutalne, to na czwartym terenie, na którym obecnie walka duchowa wre — Rzeszy Niemieckiej prześladowanie odbywa się w sposób niesłychanie przewrotny, przyjęło ono bowiem formy jakby nowego kulturkampfu, gdy tymczasem w rzeczywistości chodzi tam o poderwanie samych podstaw światopoglądu religijnego. Żadne państwo dotychczas w dziejach cywilizacji nie zdobyło się na tak wyrafinowaną metodę walki z chrystianizmem. Niepodobna przypuścić, ażeby jedyną przyczyną walk religijnych, jakie pod pozorem zjednoczenia społeczeństwa niemieckiego rozgrywają się dziś w III Rzeszy, miały być względy wyłącznie polityczne. Zdrowy rozsądek wykazuje, że próba wyrwania z milionów obywateli niemieckich wiary ich przodków, może tylko narazić III Rzeszę na poważne komplikacje w życiu zbiorowym, a co za tym idzie na osłabienie prestiżu tego państwa na zewnątrz. Widocznie istnieją przyczyny odmiennej natury niż polityka lub wzgląd na dobro państwa. Już obecnie odzywają się śmiałe głosy znawców III Rzeszy (jak Robert D'Arcourt w „Revue des deux Mondes"), że poza kulisami walk religijnych w Niemczech, działają decydujące czynniki ukryte, które zdołały użyć oficjalnych przywódców Rzeszy do rozgrywki z Kościołem katolickim, a którym bynajmniej nie chodzi o istotne dobro narodu niemieckiego. —

Jaki przebieg będzie miała walka religijna w Niemczech — czy doprowadzi do czynnej rewolty — trudno przewidzieć. Jedno jest pewne, że tego rodzaju metoda, jak już to można określić z dotychczasowych wyników, jest najgroźniejsza dla sprawy Kościoła, pod pozorem bowiem rozbudzania ducha patriotyzmu rozwija instynkty upadłej natury ludzkiej, szczególnie przewajającą się w demonicznej pysze, która przybiera formy ubóstwiania państwa.

Młode pokolenie Rzeszy niemieckiej uległo już częściowo tej trującej sugestii, która zamiast pierwiastków nadprzyrodzonych i czci Bożej, stawia jako najwyższy cel na ziemi służbę dla państwa. Największe niebezpieczeństwo polega na tym, że w Niemczech nie zwalcza się religii wprost, ale nasyca się na wszelki sposób psychikę zbiorową tym przeświadczeniem, że wszelkie wyznania religijne są szkodliwe, ponieważ rozbijają jedność narodową. A stąd już tylko jeden krok do wniosku, że jeżeli formy wyznaniowe przynoszą szkodę, to najlepiej w ogóle usunąć z życia państwowego wszelkie wierzenia religijne. —

Wydaje się więc, że Rzesza Niemiecka dała się wprowadzić ciemnym żywiołom na manowce i że istnieje w taktyce rządu tego państwa jaskrawa niekonsekwencja: z jednej strony wyraźna wola realizowania przez przywódców hitleryzmu jedności państwowej przez rozbudzanie szlachetnej dumy narodowej i karne zorganizowanie żywiołu niemieckiego — a z drugiej rozbijanie tej jedności przez brutalne wtargnięcie do najświętszych własności duchowych obywateli niemieckich, których wiarę religijną poddaje się dziś pod kontrolę rządzącej biurokracji.

W tym samym jednak czasie, gdy katolicyzm przechodzi okres prześladowania

głównie we wspomnianych krajach — w innych państwach i organizmach społecznych Kościół znajduje coraz większe uznanie. W bilansie dziejów katolicyzmu z roku 1937, takie zwłaszcza państwa, jak Austria, Włochy, Węgry, Portugalia, Anglia i St. Zjednoczone zbliżyły się znacznie do postulatów, głoszonych przez encykliki papieskie o naprawie życia społecznego, nawet powstają próby, jak w Austrii i Portugalii, stworzenia ustroju państwowego w oparciu o zasady podane w encyklikach. Odnosi się wrażenie, że tam, gdzie ludzkość zdołała uniknąć niebezpieczeństwa bałwochwalczego kultu państwa — nauka Kościoła katolickiego znajduje coraz większe zastosowanie w życiu zbiorowym. —

Ciekawą zwłaszcza ewolucję przeszła w ostatnim roku Francja. Zdawało się, że kraj ten utonie w odmętach radykalizmu społecznego, tymczasem najniespodziewaniej oficjalne czynniki rządowe Francji po raz pierwszy od wielu lat postanowiły zaniechać formalnej walki z Kościołem. Lewicowy rząd francuski przyjął wysłannika Papieża, kardynała Pacceli z tak głęboką czcią i wielkimi honorami, że wywołało to osłupienie we wszystkich antykatolickich żywiołach politycznych. Okazało się, że dążenie do przekształcenia ustroju społecznego na rzecz mas pracujących może się odbyć w zgodzie z Kościołem. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby katolicyzm popierał taktykę tzw. frontów ludowych, lub uznawał możliwość kompromisu z marksizmem, ale ten gest radykalnego rządu francuskiego, skłaniającego się kornie w hołdzie w stronę Kościoła, wykazał, że nawet ci, co błądzą w swych założeniach doktrynalnych, mają okresy otrzeźwienia, w których muszą uznać olbrzymią wartość społecznych postulatów katolicyzmu. —

Gdy spojrzymy wreszcie na mapę Europy, na której widnieje pomiędzy dwoma kolosami, wypowiadającymi walkę Kościołowi, kraj zwany Polską — to musimy przyznać, że właśnie ten kraj posiada dziś niezwykłą misję, stanowiąc jakby najsilniejszą barierę przeciwko zalewowi neopogaństwa i bolszewickiego bezbożnictwa. Katolicyzm w Polsce przechodzi niezawodnie w ostatnich czasach ewolucję w kierunku dodatnim. Troska Episkopatu w naszym kraju o losy wiary świętej, idzie w kierunku pogłębienia religii uczucia, przez religię rozumu. Z inicjatywy hierarchii kościelnej w Polsce powstają ostatnio Instytuty Wiedzy Religijnej, które mają przygotować cały szereg świeckich apostołów uzbrojonych w gruntowną znajomość doktryny katolickiej. Wyda to niezawodnie olbrzymie rezultaty, które się zaakcentują w nowym układzie odrodzonego życia społecznego Polski. Brak skupienia na terenie politycznym wśród katolików, wynikał głównie ze słabej znajomości społecznej doktryny Kościoła. Uświadomienie w tym względzie, którego się podjęły również Instytuty Wiedzy Religijnej, na pewno spotęgują dodatni wpływ katolików na bieg życia państwowego w Polsce. —

Z FILMU

„Kościuszko pod Racławicami" należy do filmów monumentalnych. Trzeba od razu z góry stwierdzić, że pod tym względem nie zawodzi, dając szereg scen zbiorowych, rzeczywiście z rozmachem wyreżyserowanych. Dobre efekty osiągnięto również w scenach batalistycznych.

Postać naczelnika Kościuszki wyposażona przez Tadeusza Białoszczyńskiego w kapitalną maskę, wysuwa się rzeczywiście na czoło szlachetną postawą, grą pełną akcentów romantycznych i rycerskich.

Drugą kreacją, o której trzeba mówić, jest Bartosz Głowacki, zagrany przez Franciszka Dominiaka z rozmachem i brawurą.

Film, nastawiony na ogół jest na przedstawienie przełomowej chwili dziejowej w całym jej blasku wielkich wydarzeń publicznych. Nie pominięto jednak, dla wyrównania zbyt wielkiego napięcia patetycznego, również momentów prywatnych. Czołową osobą dramatu kameralnego jest Elżbieta Barszczewska.

W tej samej epoce rozgrywa się historia „Ułana księcia Józefa". Jest jednak różnica, polegająca na skali tematu.

Gdy w „Kościuszce" mamy raczej epos historyczne, w „Ułanie" Ks. Pepi na czoło wysuwa się anegdota romantyczna, osnuta dookoła przygody mimowolnego dezertera.

Ks. Józef również ukazany jest nie na koturnach dziejowego przełomu, lecz w ramach prostej ludzkiej rzeczywistości. Zadaniem, które powierzył autor scenariusza, jest interwencja nie na polu Marsa, lecz pod znakiem bogini Miłości.

Historia jest prosta. Młody oficer zakochał się w oberżystce. Opuszcza swą kwaterę, aby odwiedzić swą ukochaną, rzekomo zranioną czy uwięzioną przez szpiegów. Podczas bitwy stwierdzono jego brak w szeregach. Oskarżony o dezercję staje przed sądem. Nie broni się, bo nie chce wyznać, gdzie spędził noc. Spod niechybnego wyroku śmierci ratuje go ks. Józef, który na podstawie wyznania dziewczyny, rehabilituje swego oficera.

Czołową rolę grała Jadwiga Smosarska, która umiała włożyć w postać oberżystki wiele wdzięku. Partnerem jej jest Witold Conti, piękny oficer, elegancki i bohaterski. Księcia Józefa zagrał z galanterią bardzo naturalną Franciszek Brodniewicz.

Nie ujmując nic powadze tej urokiem legendy owianej postaci, nadał jej ludzkie cechy, i dzięki temu uczynił naprawdę porywającą, godną uwielbienia i podziwu. —

Słówko jeszcze należy się Stanisławowi Sielańskiemu, który jako ordynans wywoływał istne salwy śmiechu.

Maurice Chivaliera pokazano nam tym razem w filmie o nieszczególnej atmosferze, co na ogół jest sprzeczne z tendencją filmów, jakimi nas dotąd uszczęśliwiano. Więc też tytuł „Z uśmiechem na ustach" można by uzupełnić „z uśmiechem cynizmu".

Kino Roma po doskonałym, choć nieco ciężkawym, filmie „Królowa Wiktoria", w której pokazano nam romantyczną młodość wielkiej monarchini angielskiej, dało nam pełny program rysunkowy pod zachęcającym tytułem „Tęcza Disneya". Zestawienie obok siebie kilku filmów w pełni ukazuje całe bogactwo techniki rysunkowo-malarsko-filmowej twórcy „Mickey-Monse".

Rozwój twórczości Disneya idzie w dwu kierunkach, z jednej strony dramatyzowanie historiek o zwierzętach, z drugiej kapitalne „ilustracje dźwiękowe". Disney sięgnął w dziedzinę poezji czystej, wykazawszy już wszystko, co potrafi, jako filmo-bajkarz. „Stary Młyn", to bez przesady wspaniały poemat symfoniczny.

Najistotniejszą cechą filmówek Disneya jest karykaturalna deformacja „bohaterów". Przez śmiałość wirtuozyjną swych rysunków, artysta wyraża w swoisty sposób ich psychologię, nieomal ich charakterologiczne właściwości.

Filmem, który dostał I nagrodę na dorocznym biennale jest „Jej pierwszy bal" (Carnet du bal) Jeana Duviviera.

Film ten pod względem psychologiczne go prawdopodobieństwa przedstawia się trochę niepewnie. Wydaje się wątpliwym, by 16-latka zamąciła na pierwszym swym balu głowę aż sześciu młodzieńcom, i to tak gruntownie, że jeden się zabił, drugi rozpił, trzeci zmarnował całą karierę, czwarty poślubił z rozpaczy pokojówkę, która tym razem (o co tak łatwo na filmie) nie okazała się księżniczką.

Jeśli już darujemy scenarzyście tę nieprawdopodobną anegdotę, to pozostanie nam już niewątpliwa możność rozkoszowania się nieprzeciętną robotą reżyserską. Pierwszy popis zdjęcia balu „au relanti".

Dalej idą sceny w urzędzie merostwa, w mieszkaniu lekarza.

Wyborna gra czołowych artystów francuskich: M. Bella, Harry Baura, P. Blanchara, Fr. Rosay'a, wypełnia wszelkie luki tego zresztą pod niejednym względem szczęśliwą ręką wykonanego obrazu. Jego poziom artystyczny jest wysoki i zawodu nie sprawia. *cki.*

Z MUZYKI

Gościna chóru bułgarskiego „Gusła" stała się bezprzecznie najważniejszym z wydarzeń w nowym życiu artystycznym. O muzyce bułgarskiej wiedzieliśmy dotąd za mało w stosunku do jej wartości. Tragiczny los naszego „Douglasa", a zarazem bezprzykładna życzliwość ludu bułgarskiego, okazana w czasie poszukiwań samolotu, nie tylko zadzierzgnęły węzły przyjaźni pomiędzy obu krajami, ale i zwróciły naszą uwagę na kulturę Bułgarii. Chór „Gusła", jeden z najznakomitszych zespołów chóralnych, jakie udało mi się słyszeć, zapoznał nas z bogatym folklorem tego kraju. Co więcej podał nam go w formie świetnej, w niezrównanym co do brzmienia wykonaniu. Dlatego też uważam chwilę obecną za odpowiednią dla omówienia bodaj pobieżnego pieśni bułgarskiej. Zbiory motywów tych liczą przeszło 50 tysięcy. Odbija się w nich przede wszystkim tęsknota do wolności. Należy bowiem wiedzieć, że Bułgaria do r. 1878 znajdowała się pod jarzmem tureckim, które należało do najcięższych. Ponimo to ludowa pieśń bułgarska nie nosi cech tragizmu, jak na Łotwie, lub w Estonii. Wręcz przeciwnie — skąpana jest ona w słońcu, w jego promieniach szuka sił do przetrwania niewoli politycznej. Rzecz osobliwa, iż lirnikiem bułgarskim jest k o b i e t a. Wielka ilość pieśni miłosnych, to poetyczne poematy, pełne czystych uczuć uwielbienia, dalekich od namiętnej nuty canzony italskiej. Ten idealizm to jedna z cech najbardziej charakterystycznych. Z tych tysięcy tematów, zbieranych pieczołowicie przez Stoina, czerpali następnie i czerpią po dzień dzisiejszy kompozytorzy tego kraju. Oczywiście — przeważa tam w o k a l i z m. Długi poczet pieśni i kantat, z którymi zapoznało nas „Gusło", to utwory na folklorze oparte pióra Dobrego Christowa, Nenowa i Stainowa, wreszcie — świetnego dyrygenta chóru sofijskiego, *Dimitrowa.* Nawet i najwybitniejszy kompozytor bułgarski, Władigerow, nie jest wolny od wpływów wokalizmu. W szkolnictwie średnim śpiew uważanym

jest za przedmiot naczelny, który nie tylko należy do rzędu „obowiązkowych", ale jest przez uczniów licealnych umiłowany. Rola śpiewu w bułgarskim gimnazjum wymagałaby, i słusznie, osobnego artykułu. Nie należy jednak sądzić, że muzyka instrumentalna stoi w kraju króla Borysa na uboczu. Dość powiedzieć, że Konserwatorium muzyczne w Sofii, założone dopiero w roku 1902, kształci w bieżącym roku szkolnym około 1000 młodych adeptów, co jest cyfrą olbrzymią w stosunku do ludności tego państwa. Nasza „Halka", właśnie tam, na scenie sofijskiej zyskała sobie przed kilkunastu laty bodaj że największe za granicą uznanie, co jest zasługą znanego dyrygenta naszego, *Tadeusza Mazurkiewicza.* Trzeba było widzieć i słyszeć, jak przyjmowano zarówno w Filharmonii, jak w Teatrze Wielkim znakomity zespół bułgarski „Gusła". Wykonanie kilku utworów polskich Lachmana wzbudziło niebywały u nas entuzjazm. Tu już nie decydował o sukcesie chóru sam „moment polityczny", ale jego wartość artystyczna. Każdy najdrobniejszy szczegół, dynamika, frezowanie a niemniej — dykcja musiały budzić zachwyt. Tej gościny bratniego zespołu bułgarskiego nie zapomnimy.

Drugim wysoce oryginalnym dla nas wieczorem była uroczysta akademia z okazji 750-lecia wielkiego poety gruzińskiego, *Rustavelego.* Przekreślając istnienie tego państwa, Sowiety dopuściły się nie tylko jaskrawej niesprawiedliwości, ale wykazały swoje nieuctwo w stosunku do wielowiekowej kultury Gruzji. Nazwisko Rustavelego i jego dzieła poetyckie, niestety znane nam jedynie z fragmentów, są wyraźnym dowodem wysokiej kultury gruzińskiej. Toteż akademia, dana w Ratuszu, obudziła wielkie zainteresowanie. Przy tym obok poetyckich fragmentów zapoznała nas ona z długim szeregiem pieśni gruzińskich, arii z oper, duetów. Tu muszę wspomnieć o bardzo stylowym wykonaniu pieśni Araszwilego przez młodą, obdarzoną pięknym sopranem śpiewaczkę, p. *Łomankiewiczównę,* która jest jednym z najmłodszych nabytków naszej opery. (Śpiewaczka ta z powodzeniem wykonała w parę dni potem rolę Micaeli). Pieśni i arie gruzińskie wykonali również pp. Maryla *Karwowska* i Janusz *Popławski* przy doskonałym akompaniamencie *Walentynowicza.* Wspomniawszy wyżej o operze, przechodzę z kolei do spraw z bytem jej związanych. Głośny wiec w Konserwatorium, odbyty przy wielkim i czynnym współudziale naszego świata muzycznego dowiódł, że istnienie warszawskiej sceny operowej leży (przynajmniej pewnej grupie ludzi) na sercu. Słuchając przemówień wiecowych, nabierało się nadziei, że przecież uda się zabezpieczyć trwały byt pierwszej sceny polskiej, spadkobierczyni tradycyj Moniuszki. Dotacja 1½ miliona złotych rocznie musi się znaleźć w budżecie państwa, a bodaj jedną operę państwową należy, chociażby dla przyzwoitości, przeciwstawić sześciu czy siedmiu scenom operowym małej Czechosłowacji! Mieliśmy w okresie sprawozdawczym ponownie gościnę egzotycznego gościa japońskiego, Teiko Kivy. Powiedziałbym, że w stosunku do lat ubiegłych gra tej artystki wyprzedza coraz bardziej jej walory głosowe. „Butterfly" ujęta z tego stanowiska była jednym z najbardziej stylowych wieczorów sezonu, a to już bardzo wiele. Gościnne występy Egizio *Massiniego* zaliczę również do rozumnych posunięć Dyrekcji. Tak *brzmiącej* „Aidy" i „Toski" nie słyszy się często. Bardzo dobrą jest *Dora Massini* w roli Aidy, za to Woliński z wielu względów, nawet czysto zewnętrznych, nie wydał nam się na miejscu. Jeżeli idzie o wybór głosów kobiecych pierwszoplanowych, jest ich stanowczo zbyt mało. Dlatego też dziwnym się nam wydaje, że nie wyzyskano dotąd powrotu do stolicy śpiewaczki tak świetnej, jak *Maryla Krzywiec,* pomimo iż kreacje jej, zwłaszcza w „Turandot" Pucciniego, stały na najwyższym poziomie. Tak to już u nas bywa, że karzełkowate a zazdrosne istoty niezdolne są *do zauważenia tych,* którzy je przerastają, powiedzmy delikatnie, o kilka długości...

Na marginesie przedstawień *operowych* (margines ten nie jest dość szeroki!) w dalszym ciągu „robi kasę" operetka. Sześćdziesiąt kilka przedstawień „Słońca Meksyku" jest wymownym dowodem zainteresowań słuchaczów. Dodajmy do tego, że dwie czołowe role tej operetki (Juanita i Kokalani) straciły świetne wykonawczynie ich w osobach *Gabrielli* i *Żelichowskiej.* W chwili, gdy piszemy te słowa, pojawił się na scenie opery nowy „gwóźdź" sezonu w postaci ulubionego przez naszych ojców „Ptasznika z Tyrolu" w licznej obsadzie z *Marylą Karwowską* na czele. O tym utworze napiszemy w następnym felietonie. Musimy bowiem opuścić chwilowo operę, aby z obowiązku sprawozdawczego omówić życie estrady. Osią zainteresowania był recital sędziwego pianisty niemieckiego, *Emila Sanera.* Jaka to świetna gra, pełna wciąż jeszcze temperamentu i sprawności technicznej. Słuchając gry Sanera, przed oczyma naszymi staje epoka Liszta, Thalberga czy Kalkbrennera, czasy kiedy gra fortepianowa posiadała niewielu, ale jakże wielkich odtwórców. Toteż sala Filharmonii wypełniła się po brzegi publicznością, która gorąco oklaskiwała pianistę, zmuszając go do licznych naddatków. Obok tego wieczoru postawić należy ostatni z „piątków" roku ubiegłego. Dała się na nim słyszeć doskonała pianistka, zbyt rzadko ukazująca się na estradzie, *Janina Familier-Hepnerowa.* Dwa koncerty fortepianowe, pochodzące z dwu różnych epok: Mozarta i Liszta, przemówiły do nas spod palców wielkiej artystki w sposób przekonywujący. Prostota i liryzm muzyki mozartowskiej, zwłaszcza w części II koncertu d-moll, świetnie opracowane kadencje części pozostałych i czystość gry palcowej Hepnerowej mają w sobie, jak dawniej, urok niezrównany. Za to w Liszcie (koncert es-dur) gra pianistki nabiera innego blasku. Towarzyszą jej świetne oktawy, rzuty akordów i kaskady perlistych ozdobników. Słyszałem tenże koncert w wykonaniu pianistki przed kilku laty. Stwierdzam, że wykonanie go w wieczór Sylwestrowy było jeszcze świetniejsze. Program orkiestralny przyniósł nam na pierwszym planie symfonię patetyczną Czajkowskiego, jedno z najbardziej natchnionych dzieł muzyki symfonicznej. *Wolfstal* poprowadził je z maestrią i wielkim poczuciem stylu. Poważny, pierwszorzędny dyrygent.

Poranki niedzielne mają zastępy wiernych sobie słuchaczów. Pisałem już parokrotnie o roli umuzykalniającej tych koncertów, podkreślając jednolitość ich tegorocznych programów. Poranek „Mozart-Wagner" dyrygowany przez Tadeusza *Mazurkiewicza,* dał nam usłyszeć obok dzieł orkiestralnych szereg arii w wykonaniu łotewskiej śpiewaczki Mariny *Karklin.* Nie posiada ona jednak dostatecznej siły głosu do Wagnera. Głos ten brzmi o wiele lepiej w sali kameralnej, co mogłem już uprzednio stwierdzić w Konserwatorium. Poranek noworoczny poświęcono (i słusznie) muzyce lekkiej. Usłyszeliśmy na nim po dwumiesięcznej nieobecności prof. Jana *Dworakowskiego* oraz popularny zespół rewelersów pod nazwą „T. 4". Pani Wanda *Vorbond-Dąbrowska,* absolwentka wyższej szkoły muzycznej imienia Chopina, obrała sobie jako specjalność noworoczną muzykę wokalną. To, co śpiewają „T. 4" od kilku już lat, wyszło z pracowni kompozytorskiej Dąbrowskiej. Opracowania, bądź utwory oryginalne jej napisane są zgrabnie, noszą w sobie sporo oryginalności w rytmie i harmonizacji. Obserwacje powyższe potwierdził raz jeszcze występ niedzielny zespołu Dąbrowskiej w Filharmonii. Spotkał się on z zasłużonym uznaniem.

Sala Konserwatorium wykazuje w ostatnich tygodniach ożywienie nieco mniejsze, niż w listopadzie i grudniu. Oprócz paru audycyj Towarzystwa Muzyki Dawnej,



Chór bułgarski „Gusła".

wieczoru ku czci Szymanowskiego i koncertu zdolnej pieśniarki, p.*Grelichowskiej*, nie wiele mielibyśmy do zanotowania. Grelichowska posiada wiele wdzięku à la Lucienne Boyer, ładny acz nie wielki głos i dobrą dykcję. Wrażenie wieczoru spotęgowało się przez akompaniament *Jadwigi Szamotulskiej*. Młoda ta pianistka daje się coraz częściej słyszeć na estradzie i zdobywa sobie szybko uznanie. Radzibyśmy ją usłyszeć w recitalu fertepianowym, nie tylko — w Radio!

Wanda Weramińska przypomniała się Warszawie po dłuższej nieobecności. Słyszeliśmy ją w grudniu na koncercie wagnerowskim, gdzie pod świetną dyrekcją Fr. Buscha wykonała arie z Lohengoriu" i „Tristona", ostatnio zaś w operze (doskonała Carmen!). *Lucyna Messalówna* sprawiła nam niewspółmiernie większą niespodziankę swoim powrotem na scenę. Teatr „8[15]", w osobie swojego zasłużonego kierownika, Witolda Zdzitowieckiego, miał świetną myśl zapraszając ulubioną Messalkę do kreowania roli tytułowej w „Cnotliwej Zuzannie". Warto jest zobaczyć po raz drugi tę operetkę, aby się przekonać, że Messelówna czaruje, jak dawniej, swoim śpiewem, grą i właściwym jej urokiem. *Messelka* i *Redo* stają się więc. jak przed laty, gorąco oklaskiwanymi bohaterami „Zuzanny". Kto nie wierzy, niech się przekona! *Wł. B.*

ZE ŚWIATA PLASTYKI

Zachęta — Salon 1937 r.

Ogólny poziom licznie obesłanego *Salonu*, niestety, nie jest zbyt wysoki.

Góruje portret i uderza na pierwszy rzut oka dużo stosunkowo aktów. Poza tym pejzaż i matrwa natura — kompozycji w szerszym stylu, oprócz batalistyki, koniarstwa i scen jarmarczno-małomiasteczkowych — właściwie nie ma.

Najlepszym portretem, słusznie zresztą nagrodzonym, jest *T. Marczewskiego* — portret p. St. M. Szlachetny w ujęciu, dyskretny w tonie, głęboko przemyślany w całości i w szczegółach.

Przed oczyma zwiedzającego Salon przesuwają się kolejno *portrety celowo wykonane*, lub też bez wyraźnych cech portretu — *studia głów i figur*.

W pierwszego typu, wśród całej gromady, wyróżnić należy śp. *A. Austena* charakterystyczne podobizny pań M. Z. i P. S. — *M. Bloombergha*, portret p. Rostafińskiego, bardzo interesujący w ujęciu — *A. Bunscha* portret żony, odznaczający się wysokimi wartościami artystycznymi — *R. Kaweckiego*, poprawny portret prałata O. K. — *M. de Lauransa*, portret generała S. Z. — *C. Skawińskiego*, śmiało i dobrze malowany portret p. A. Redulskiego. — Z kilku autoportretów wyróżniają się *B. Iwanowskiego* i *S. Batowskiego*. W pierwszym znać jeszcze gorączkę poszukiwania efektów świetlnych — w drugim spokój pewnego szablonu. Ustalonym rozgłosem cieszące się portrety *W. Kossaka* i *S. Norblina* — posiadają, jak zawsze, swój odrębny styl.

Bardzo dobrym jest wizerunek „Kozaka". — *G. Orłowskiego*: „Czarna Dama" posiada duże zalety malarskie. — Nieprzeciętną jest kompozycja *A. Grabarza*: „Artystka", malowana z sentymentem i dużą znajomością techniki. *Z. Rudzkiej*: „Rozmyślanie" posiada głęboki ton i nastrój odpowiadający tytułowi. *J. Wodyńskiego*: „Dziewczyna z pieskiem" jest wdzięcznym studium o wybitnych cechach dekoracyjnych. — Oddzielnie zatrzymuję się nad doskonałą figurą *W. Piotrowskiego*, uosabiającą symboliczną tezę „Vanitas Vanitatum". Sama postać i bez tej wyraźnej intytulacji byłaby tęgim dziełem sztuki. Tabliczki, lub arkusze papieru, noszone przez ex-ludzi w rodzaju Weissa — nie przemawiają do mojej wyobraźni malarskiej — wytwarzają tani efekt, raczej dla innych (poza malarstwem) użytkowych celów może bardzo przydatny. — *A. Styka*, jak zwykle, wydobywa gorący ton południa w obrazie: „Młoda Marokanka". *Z. Skotnicki* w „Białej gamie" rozwinął całą wytworną symfonię bieli.

Z *aktów* wybija się na pierwszy plan *W. Weissa* „Akademia" doskonale skomponowane i stonowane studium. *S. Zawadzkiego* „Igraszka z falą" posiada wdzięczny ruch samej postaci, więcej miękkie fale podniosłyby wartość kompozycji.

Z *batalistycznych tematów* zanotować należy w pierwszym rzędzie *W. Bartoszewicza* świetnie namalowaną scenę „Cecory", wieje z niej baśniowa groza i wielkość legendy, mimo szczupłości samej kompozycji. *R. Sichulskiego*: „Przegląd floty i koprów pod Puckiem przez Władysława IV" jest raczej bardzo podciągniętym szkicem. *S. Batowskiego* „Wybuch granatu" jest natomiast zbyt fotograficznym, zresztą doskonale pomyślanym epizodem bitwy. *P. Zaleskiego* „Walka" odznacza się dużym rozmachem, jest namalowana z talentem i istotnym poczuciem śmiertelnej walki.

J. Kotowskiego „Na Wołyniu" jest pyszną ilustracją melancholii nieba i brudnej szarzyzny małego miasteczka, w pewnej tylko chwili, ożywionego gwarem pędzących przez błoto bryczek i brnących w topniejącym śniegu ludzi. — Podobną małomiasteczkową scenę jarmarczną przedstawił w doskonałej akwareli *R. Kraśnik*. — *J. Ryszkiewicz-Świrycz* wystawił znakomitą „Orkę w poranku jesiennym". — *A. Sarnowicz* w „Majestacie królewskim" dał syntezę puszczy, wysuwając na pierwsze miejsce rzeczywiście królewską rodzinę żubrów. Artysta jest stanowczo u nas niedoceniany, nieprzeciętna jego indywidualność w ujęciu i stylizacji lasu stanowi najwyższą klasę tego rodzaju kompozycji bodaj, że nie tylko u nas w Polsce. — Zbliżona tematem jest mistrzowska akwarela *A. Jakimczaka*: „Zdobycz".

Ze *scen kompozycyjnych* wyróżnia się *B. T. Frydrysiaka*: „Babka z wnuczką", tyle razy malowana, a zawsze świeżością ciesząca się scena, tym razem ładnie przez artystę ujęta, przywołuje jak gdyby dalekie echa huculskie W. Szymanowskiego. — *B. Rychter-Janowska* w obrazku zatytułowanym: „W samotności" podkreśla, jak zwykle, ujmująco i z talentem wszystkie cechy sentymentu, jakie tkwią w dawnym polskim dworze.

Rewelacyjnie wystąpił *F. Szwoch* w dużym obrazie: „Bitwa pod Oliwą". Znany marynista wydobył z całą świadomością efekty malarskie, blask ognia, ślizgający się po zwałach wody i trafnie rozwiązał grę światłocienia pierwszych i dalszych planów. W kompozycji uderza groza bitwy i potęga żywiołu morza. Obraz Szwocha bezwątpienia zasługuje na postawienie jego na czołowym miejscu w naszej marynistyce, tak przez swą treść, jak i również z powodu doskonałego wykonania. — Do marynistycznych krajobrazów zaliczyć trzeba najlepszy na obecnej wystawie i bodaj w ostatnich czasach morski krajobraz *W. Nałęcza*: „Cisza morska", świetny w tonie i we wszystkich szczegółach prawdziwej symfonii morza. — *M. Mokwy* „Półwysep helski" posiada silne indywidualne znamiona tego wrodzonego marynisty.

Krajobraz reprezentują przede wszystkim nazwiska *S. Dybowskiego* (doskonała w kolorze „Narew"), *M. Szymanowskiego* („Wnętrze lasu"), *A. Suchanka* (bardzo piękne studium: „Wsi spokojna"), *K. Wróblewskiego* („W Królikarni"), *S. Zawadzkiego* („Kapliczka w Czorsztynie"), *M. Nehringa* („Sągi w lesie"), *T. Nartowskiego* („Stary kościółek"), *Z. Zaczyńskiego* („Pułtusk").

Z rzadkim religijnym tematem spotykamy się w kompozycji *L. Jagodzińskiego*: „Madonna". Cały układ posiada wiele uroku. Miałbym może pewne zastrzeżenia co do wyrazu Dzieciątka (rzecz arcytrudna!...) i układu symetrycznego wież w tle. Artysta chciał zapewne położyć akcent archaizacji, myślę, że można ją było wydobyć bez uciekania się do symetrii.

Z *florystyki* i *martwej natury* wyszczególnić wypada *L. Grabowskiego* „Nagietki", *A. Terpiłowskiego* „Martwa natura".

Rzeźba przedstawia się w obecnym sezonie pokaźnie liczbą i jakością. Na uwagę zasługują prace: *B. Barcza* „Obrońca" — *T. Dąbrowskiej* monumentalna, z wielką siłą rzeźbiona, głowa marszałka Piłsudskiego — *A. B. Dobrowolskiego*: „Brąz" — *A. Głowińskiego* popiersie marszałka Prystora (może za lekko podkreślona charakterystyka rysów) — *A. Karnego* biust rektora dra A. Becka — *K. Laszczki* typowa dla artysty głowa „Damy" i świetna rzeźba w drzewie „Młody Rzeźbiarz" — *S. Lewandowskiego* popiersie Prezydenta I. Mościckiego — *J. Jasińskiego* figura obrońcy Pragi gen. Jakuba Jasińskiego.

W dziale *architektonicznych* prac *K. Siciński* wystawił projekt rekonstrukcji „Ostrej Bramy" w Wilnie. Temat sam dla siebie może dobry, w zastosowaniu praktycznym fatalny ze względu na przeprojektowanie i przeobrażenie z gruntu czegoś, co wiekami uświęcone w tradycji stało się niemal jednym ze symbolów Polski. Ciekawy jestem (ponieważ Polacy tak pochopni do naśladowania wzorów cudzych) co by powiedzieli Anglicy, gdyby jakiś architekt Albionu zechciał rozbudować np. katedrę Westminstern, lub nawet jeden z małych szkockich kościołów?...

Z żałobnej karty zanotować musimy stratę wybitnego malarza *Antoniego Austena*. Artysta urodzony w r. 1865 po ukończeniu szkoły warszawskiej Gersona wyjeżdża w r. 1890 za granicę i tutaj studiuje u Julesa Lefèrvta i Thony-Fleury'ego. W r. 1897 wystawia w salonie elizejskim, prace Austena zyskują uznanie i przychylną ocenę krytyki miejscowej. Tutaj też na gruncie paryskim zarysowuje się jego dynamiczny charakter, silny indywidualizm, nie znający nigdy kompromisów, oparty na własnym wewnętrznym przekonaniu. Tutaj też w świecie wybujałego artyzmu, jako jeden z pierwszych polskich gorących zwolenników niedawno narodzonego impresjonizmu francuskiego — porzuca za sztywne dla entuzjasty salony elizejskie i wystawia u „Niezależnych", gdzie zdobywa swym polskim krajobrazem dużo pochwał. W r. 1899 wraca do kraju, wystawia wielokrotnie w war-

szawskiej Zachęcie i rozwija w stolicy ożywioną działalność na polu popularyzacji sztuki. W tym okresie urządza szereg odczytów o impresjonizmie, drukuje artykuły polemiczne i krytyki malarskie w „Kurierze Codziennym” i innych pismach, wypowiadając śmiało, mimo ostrych sprzeciwów, swoje przekonanie i zasady. Zmarły był długoletnim członkiem rzeczywistym i członkiem komitetu Zachęty warszawskiej, był członkiem zasłużonym Tow. Polskich Artystów, był jednym z założycieli i przez pewien czas prezesem Zrzeszenia Polskich Artystów Plastyków, oraz założycielem szkoły plenerowej w Sielcach. W latach wojny był członkiem straży obywatelskiej, pełnił również obowiązki radnego miejskiego. Zawsze wysoko niosąc sztandar sztuki, na wszystkich placówkach łączył godnie zawód malarza i obywatela. Należał do rodziny ideowych bojowników malarzy, podobnie jak Witkiewicz, Ruszczyc i inni. Cześć jego pamięci!...

Wystawa artystyczna świątków.

Tow. Wydawnicze „Kronika Rodzinna” zapoczątkowało utworzenie centrali sklepu z dewocjonaliami, posiadającymi odpowiedni poziom artystyczny, w ostatnich dniach przed świętami Bożego Narodzenia urządziło pokaz religijnych kompozycji. Wśród kilkuset wystawionych prac około 30 artystów wybijają się: *H. Staszewskiej*, miłe, o wybitnie narodowym charakterze, tempery, obrazki, przypominające iluminacje dawnych kodeksów religijnych, *Schreiberówny*, znane ceramiczne figurki, *Ł. Stehlik-Wiślickiej* pięknie stylizowana w autolitografii postać Matki Boskiej Kodeńskiej, *Gutkiewicza* olejna kompozycja, przedstawiająca św. Huberta, *Maliszewskiej* (olejn.) „Trzy Marie”, rzeźby *S. Rurkego*, *Surdela* i wiele innnych. Sporo znajduje się malowideł na szkle, naśladujących tego rodzaju ludowe obrazki. Wszystkie posiadają zasadniczą wadę, brak zrozumienia istoty ludowego malarstwa, w ogóle ludowej sztuki, która przede wszystkim ceni technikę, kolor i wykończony rysunek. Szkło jako materiał dla malowania wymaga wyjątkowo pewnej ręki, gwazdolone kulasy, mające niby naśladować prymityw, wywołują straszne nieporozumienie...

Inicjatywa stworzenia placówki sztuki religijnej musi się spotkać z radością nie tylko artystów, lecz również szerokich kół naszego społeczeństwa, które co do sztuki religijnej, niestety, dotąd zupełnie nie jest zorientowane.

Wilno w obrazach.

W salach Tow. Rozwoju Ziem Wschodnich (Marszałkowska 146) grupa młodych artystek-malarek wystawiła w grudniu ub. r. szereg prac olejnych i akwarel, przedstawiających widoki z Wilna i okolic. Zalety malarskie posiadają prace *H. Kuczyńskiej, J. Malinowskiej, F. Pikiel i H. Staszewskiej.*

Kiermasz Artystyczny Polskiego Tow. Artystycznego (podziemia Zachęty) zgromadził w tym czasie wiele prac (olejnych, akwarel i grafiki) o zupełnie wysokim poziomie.

Komitet Przyjaciół Sztuki Polskiej urządził II salon przedświąteczny w salach Stow. Techników. Grupy artystyczne: Zrzeszenie Pols. Artystów Plastyków, Pro Arte i szereg poszczególnych malarzy wystawił liczne prace.

Wystawa fotograficzna pt. „Piękno Warszawy”, zorganizowana w okresie świąt staraniem Polsk. Tow. Fotograficznego (Wierzbowa 8) przedstawiała się bardzo zajmująco. Trochę za monotonne wrażenie sprawia prawie wyłączne traktowanie jako tematu: architekturę, niemniej wiele eksponatów stało na bardzo wysokim poziomie artystycznym.

Wystawa malarstwa italskiego w warszawskim Muzeum Narodowym, składa się z dzieł przeważnie artystów młodszego pokolenia — reprezentowanego przez 47 artystów. Jest to właściwie wystawa krajobrazu włoskiego, przedstawionego w tych rozmiarach po raz pierwszy w Polsce.

Dr M. Nałęcz-Dobrowolski.

Z PIŚMIENNICTWA

Za granicą.

O laureacie Nobla.

Pierwsze studium obejmujące całokształt twórczości tegorocznego laureata Nobla, Roger Martin du Garda, ukazało się parę miesięcy temu (jeszcze przed przyznaniem mu nagrody) na łamach *Revue de Paris*, obecnie zaś zostało przedrukowane w formie broszurki. René Lalon, będący jego autorem, ma zasługę nie tylko pierwszeństwa w czasie. Wszystkie jego prace odznaczają się tą samą jasnością, sumiennością i obiektywnością. Tym razem specjalnie cenne są jego uwagi o człowieku, poprzedzające rozważania nad autorem, ponieważ Roger Martin du Gard należy do pisarzy, udzielających się niewiele, których życie jest stosunkowo prawie nieznane. Pierwszy utwór Roger Martin du Garda wyszedł w r. 1908 i nazywał się *Devenir*. Za następny etap w jego rozwoju można uważać powieść w formie dialogu: *Jean Barois*, cieszącą się zasłużoną sławą. W r. 1922 ukazał się pierwszy tom *les Thibault*”. Mimo że z górą 15 lat upłynęło od tej chwili, epopeja ta nie jest jeszcze ukończona. W każdym razie stanowi ona najodpowiedniejszą panoramę obyczajów i charakterów, jaka powstała we Francji od czasów Prousta.

(Przekłady R. Martin du Garda na język polski, zaczęły się ukazywać ostatnio staraniem firmy „Rój”).

Powieść budzącego się Egiptu.

Jest to powieść pt. *Odnaleziona dusza*, (L'Ame retrouvée, Fasquelle), którą napisał Egipcjanin Tewfik el Hakim, a którą adoptował na język francuski drugi Egipcjanin, wielki przyjaciel Francji, Morik Brin. Powieść ta opowiada dzieje pewnej rodziny egipskiej, przez co jest odpowiednikiem dla tak licznych obecnie opowieści o dziejach całych rodzin różnych krajów Europy i Ameryki. Sposób opowiadania z jednej strony przypomina baśni Szekerezady, a z drugiej ma lekki posmak ironii wolterowskiej. Całość jest prawdziwie egzotyczna i nacechowana dziwnym urokiem.

Ciekawy konkurs.

Les Nouvelles Littéraires zaczęły ostatnio drukować pomysłowy konkurs dla swych czytelników, zwący się *Grą myśli*. Każdy numer drukuje trzy piękne maksymy, z których jedna jest „autentyczna”, to znaczy należy do La Bruyère'a, La Rochefoncaulda, Vauvenarguesa, czy któregoś z pisarzy lub myślicieli nowoczesnych. Dwie pozostałe zaś są „podrobione”, (ale jak zręcznie podrobione!) przez Pierre Lagarde'a. Konkurs ten jest nie tylko dobrym ćwiczeniem pamięciowym i umysłowym. Ujawnia on także ciekawą i zabawną rzecz: jak często maksyma autentyczna, wychodząca



spod pióra wielkiego — przez świat cały uznanego myśliciela — jest najbanalniejszą i najbardziej przyziemną z trzech przytoczonych. Czemu? — niech każdy nad przyczynami zastanowi się sam, a będzie to również dobrym ćwiczeniem umysłowym.

Sergiusz Lifar autorem.

Sławny baletmistrz rosyjski, przebywający stale w Paryżu, Sergiusz Lifar wydał ostatnio w języku rosyjskim książkę pt. *Wielkie prądy tańca akademickiego*. Balet rosyjski jest ciągle jeszcze ogromnie modny na Zachodzie. (Niedawno pisma angielskie porównywały z nim występy naszego zespołu, niestety na wielką naszą niekorzyść). Toteż książka Lifara ma być wkrótce przetłumaczona na francuski i angielski. Wyjątki zaś z niej były wygłoszone w czasie odczytu w Sorbonie, parę miesięcy temu, z racji II Międzynarodowego Kongresu Estetyki i Wiedzy o Sztuce.

Wojna hiszpańska tematem powieści.

Nadzieja (L'Espoir, N. R. F.), bo tak brzmi tytuł świeżo wydanej książki André Malraux, jest bodaj jedną z pierwszych, usiłujących zamknąć hiszpańską wojnę domową w ramy powieści. *Nadzieja* obejmuje dzieje ośmiu miesięcy od lipca 1936 do marca 1937 r. Jest to okres, w którym autor książki brał czynny udział w wojnie tej po stronie rządowej, stojąc na czele pierwszej międzynarodowej eskadry lotniczej. Zdaniem René Lalon, wspomnienia André Malraux cechuje precyzja komunikatu i wspaniałość epopei. Nazywając swą książkę powieścią, Malraux chciał zapewnić czytelników, że bohaterowie jej zostali stworzeni lub przynajmniej przekształceni w wyobraźni autora. Daje on nam szereg żywych, jasno scharakteryzowanych postaci, z których każda wyróżnia się odrębną ideologią. Trzeba podkreślić z uznaniem, że Malraux potrafił wznieść się ponad ciasny, partyjny punkt widzenia w swym prawdziwie artystycznym wysiłku odmalowania trudnego przejścia od entuzjazmu do dyscypliny i do czynu.

Nowiny poetyckie i inne.

Julian Benda, zastanawiając się (w noworocznym numerze *Les Nouvelles Littéraires)* nad zagadnieniem, czy sztuka hołduje modzie, czy też moda sztuce, twierdzi, że jest dwie kategorie pisarzy. „Jedni piszą, ponieważ niektórzy ludzie czują potrzebę operowania pięknymi formami, pięknymi rytmami, pięknymi znakami; drudzy — ponieważ wszystkie epoki czują potrzebę znalezienia wyrazu. Pierwsi mogą tworzyć rzeczy wiecznotrwałe; drudzy ryzykują, że będą tylko wyrazem uczuciowości swoich czasów”. Otóż, zdaje mi się jednak, że Francis Carco należy po części do obu tych kategoryj. Jest on jednym z najbardziej typowych pisarzy francuskich doby obecnej.

A z drugiej strony taki na przykład poemat *Ombre* (Cień), będący koroną zbioru poezyj z r. 1936, pt. *Petite Suite Sentimentale (Mała Suita sentymentalna)* można prawie na pewno zakwalifikować swego twórcę do kategorii pierwszej (scharakteryzowanej przez Bendę). — Trzeba bowiem wiedzieć, że Francis Carco, znany większości czytelników głównie jako powieściopisarz, jest jednocześnie poetą. *Cień* ma dla dzieła F. Carco tę samą wagę i znaczenie, co, powiedzmy, *Le Cimetière Marin (Cmentarz morski)* — dla Pawła Valéry. „Rzadko — jak mówi Philippe Chabaneix — ubogie dzielnice wielkich stolic, mgła, dym dworcowy, przypadek spotkań i fascynujące powaby nocy” znalazły taką gorączkową siłę wyrazu, jaka płonie w rytmach prześladujących i rozpaczliwych „Cieniu” — i rzadko były źródłem takiego niezapomnianego piękna. — Obecnie długi, bo aż 250 wierszy liczący, poemat Fr. Carco poświęcił przyjaźni. *L'Amitié* jest poświęcona pamięci wszystkich zmarłych drogich autorowi. Od dawna poezja wspomnienia nie osiągnęła takiego artystycznego i uczuciowego napięcia.

Lecz Francis Carco wyraźnie w ostatnich czasach pogrąża się we wspomnieniach, ponieważ nie tak dawno ukazały się w druku zresztą muszą być obecnie w zachodnich krajach Europy w modzie. W Anglii każdy bodaj miesiąc przynosi nowy tom w tej dziedzinie. W końcu roku sensacją były wspomnienia sławnego malarza-portrecisty, Jacques-Emile'a Blanche'a *(Portraits of a Life-Time)*. — W Francji, po wspomnieniach Francisa Carco i Rolanda Dorgelès, obecnie publiczność oczekuje na wspomnienia André Salmona, których tom pierwszy miał być gotów do druku z nowym rokiem i wkrótce powinien się ukazać na półkach księgarskich. André Salmon przyznaje się, że nigdy nie prowadził pamiętnika i nie posiadał żadnych notatek do swej pracy.

Poeta francuski laureatem wolnej akademii belgijskiej.

Fernand Lot nazywa to „znaczącym chassé-croisé” w świecie umysłowym. I słusznie: Nagrodę Goncourtów w Paryżu otrzymał w tym roku Charles Plisnier, poeta belgijski, zamieszkały we Francji, podczas gdy *Prix Picard w Brukseli* (coś w rodzaju belgijskiego „pendant” do nagrody Goncourtów) — otrzymał Pierre-Louis Flouquet, poeta francuski, mieszkający w Belgii. Pierre-Louis Flouquet (urodzony w Paryżu w r. 1900) jest nie tylko miłośnikiem niezwykłej formy i poszukiwaczem nowych dróg w dziedzinie liryki. Był on również założycielem szczególnego pisma, które było jedynie i wyłącznie *Dziennikiem Poetów*. *Le Journal des Poètes* utrzymał się przy życiu przez lat kilka — i „zbierając soki poetyckie z 35 krajów” (sic!) — w okresie od r. 1930 do 1935 uczynił z Brukseli, według zręcznego określenia Fernanda Divoire'a — „prawdziwą stolicę poezji francuskiej”.

Zmuszony przerwać swe wydawnictwo, Flouquet wskrzesił je czym prędzej pod inną postacią. *Les Cahiers* wychodzą często i nieprzerwanie; zawierają poezję, esseje, ankiety. Towarzyszy im kwartalnik *le Courrier des Poétes*, zajmujący się głównie stroną informacyjną i krytyczną. Nie na tym koniec działalności nowego laureata. Jest on również twórcą *Cahiero des Poétes Catholiques*, drukujących po dziesięć numerów rocznie, jak również *Trybuny poetyckiej*, która od stycznia 1938 r. ma w Paryżu i Brukseli dawać co miesiąc odczyty przez wybitnych poetów współczesnych.

Ostatni projekt Pierre Louisa Flouqueta — to duża antologia nowej poezji francuskiej, mająca się ukazać niebawem.

Ravel i literatura.

Wielki muzyk francuski, zmarły przed samym Nowym Rokiem — Maurice Ravel (1875 — 1937), twórca najpopularniejszego bodaj na świecie całym utworu muzyki współczesnej — *Bolera* (1928) był znawcą i miłośnikiem poezji. Cała jedna jego suita nosi tytuł *Poèmes Mallarméens*. — Ale Mallarmé nie był jedynym poetą, u którego Ravel szukał natchnienia. Długą ich listę można zacząć w czasach bardzo odległych, bo aż od — Clément Marota. Ronsard, Charles Perrault, Aloysius Bertranel, Mallarmé, Henri de Régnier, Tristan Klinggor, Jules Renard, Franc-Nohain...

Ravel lubił ciszę i samotność. Unikał świata i wszelkiego rozgłosu. Lubił być niezależny — ani orderów, ani honorów. W r. 1920 odmówił Legii Honorowej. Odmówił godności członka „Institut”. Raz tylko, w r. 1928 — uległ — i przyjął tytuł doktora „honoris causa”, ofiarowany mu przez Uniwerstytet w Oxfordzie. Trudno mu się dziwić...

M. Buyno.

W Polsce.

Nowy akademik literatury. Po zmarłym niedawno Bolesławie Leśmianie (vel Lesmannie) powołano na członka P. A. L. Kazimierza Wierzyńskiego, autora „Wróbli na dachu” i „Wolności tragicznej”, okrytego paroma nagrodami krajowymi i jedną międzynarodową za apoteozę sportu w poezji, mianowicie za zbiór pt. „Laur olimpijski”.

Kontrkandydatem Wierzyńskiego był Julian Tuwim. Wybór jeszcze jednego propagatora perwersji i rozbrojenia moralnego w przeddzień grożącej wojny byłby zapewne wywrócił Akademię, już zachwianą w opinii. Skoro jednak kandydatura „pacyfisty” upadła, P. A. L. jeszcze się ostoi. Przecież nowy wawrzyn w kolekcji Wierzyńskiego nikogo nie urazi, a na opinię podziałała może nawet uspokajająco, jak krople laurowe.

Wacław Borowy laureatem. Tegoroczną nagrodę państwową otrzymał dr Wacław Borowy, znany z książki o Janie Kochanowskim pt. „Kamienne rękawiczki”, oraz studiów o Kasprowiczu, Żeromskim i Wyspiańskim.

Prawdziwą zasługą laureata jest dzieło o G. K. Chestertonie, gdzie cały dorobek wielkiego pisarza katolickiego został rzeczowo omówiony i streszczony. Przypomina tam Borowy, że Chesterton był wielkim przyjacielem Polski, której zmartwychwstanie przepowiada jeszcze w r. 1915, gdy *socjalista* Bernard Shaw głosił, że w przeważnej opinni Anglików „ludy takie jak Polacy i Irlandczycy są politycznie niemożliwe”, a zaś *wielki humanitarysta* H. G. Wells, zapytywany o stanowisko w sprawie Polski podczas Wielkiej wojny, odparł, że go nie interesuje „zabawa — w różnorodne znaczki pocztowe”.

Powieść o Żydach dzisiejszych. Świat żydowski, pełen osobliwości rasowych i ustrojowych, wyodrębniony duchowo wśród społeczeństw aryjskich, coraz częściej dostarcza tematów powieściopisarzom. Córka tego narodu, niegdyś wybranego, zaś od dziewiętnastu stuleci wyklętego, Irena Niemirowsky, literatka pisząca po francusku, obnażyła tragiczną zgniliznę moralną wysokiej finansjery żydowskiej w słynnym od kilku lat „Dawidzie Golderze”.

U nas autor ukryty pod pseudonimem Wybranowskiego, odtworzył w „Dziedzictwie” żydowskie sprzysiężenie, wyniszczające Polskę przez planowe szerzenie rozkładu moralnego, ażeby następnie żydostwo mogło tym bezkarniej żerować na osłabionym organizmie narodowym, obróconym w półtrupa, niezdolnego już obronić ani swych dóbr moralnych, ani materialnych.

Obecnie powieść Mieczysława Rudnickiego pt. Żydzi[1]) stanowi jakby drugi tom „Dziedzictwa”. Chwilami narzuca się po prostu domniemanie, że M. Rudnicki i Wybranowski — to jedna i ta sama osoba... W obu bowiem powieściach mamy systematyczny przewodnik po tajnych składach antyspołecznej broni żydowskiej, po tajnych zakamarkach spisku, przeciwko kulturze chrześcijańskiej — spisku od wieków w Europie rozgałęzionego, a w Polsce rozrosłego do wymiarów monstrualnych, wskutek wprost samobójczej bezwładności słowiańskiej.

M. Rudnicki wykazuje doskonałą wprost orientację w skomplikowanych machinacjach żydowskich. Rzecz dzieje się w czasach dzisiejszych, a więc już po ocknięciu się Polaków i rozpoczęciu nareszcie samoobrony, która rozpanoszonemu żydostwu wydaje się „szalejącym antysemityzmem”.

Wartki tok zdarzeń ciekawej powieści odsłania przed nami walkę energicznego i kulturalnego przemysłowca Polaka, Alfreda Podchamskiego, ze zbrodniczą konkurencją żydowskich partaczy. Z wyrachowania i tchórzostwa działają oni zza pleców tak zwanych „szabes gojów”, czyli spodlonych najmitów, pomagających do podtruwania, podkradania i hańbienia własnych braci.

Dozór nad tymi wynajętymi pariasami sprawuje osobna kasta, składająca się z Żydów na pozór zeuropeizowanych, a nawet świętokradczo wychrzczonych, nieraz od kilku już pokoleń.

Jeden z bohaterów powieści M. Rudnickiego, to właśnie taki pokurcz nazwiskiem Henryk Złotnicki. Jest synem profesora uniwersytetu warszawskiego. Papa Złotnicki „ex cathedra” fałszuje historię Polski i szczepi jad niewiary w młodzieńcze dusze. Dzięki stanowisku ojca, Złotnicki junior ma dostęp do najlepszych domów polskich, gdzie na swoją rękę wnosi demoralizację jako propagator tzw. „życia ułatwionego” przez rozwiązłość.

1) M. Rudnicki, „Żydzi”. Powieść. Księgarnia Św. Wojciecha. Str. 392.

Nie ogranicza się jednak do „swojej” tylko sfery. Przebrany za robotnika, szerzy tenże meches idee bolszewickie wśród proletariatu. Podpalając w ten sposób państwo polskie, piecze on sobie dwie pieczenie przy jednym pożarze: po pierwsze podkopuje interesy firmy chrześcijańskiej Podchamskiego, który jest niebezpiecznym konkurentem tandeciarzy z getta, a powtóre — przez obalanie obecnego ustroju państwowego beniaminek rodu Złotnickich przygotowuje rewolucję i wraz z nią jawne panowanie Żydów.

Niezwykłą wartość książki M. Rudnickiego stanowi uwidocznienie, że *taktyka życiowa Żydów wypływa z ich etyki* i zniekształconych przez Talmud zasad religii, w której nie pozostało prawie nic z pierwotnego ducha Mojżeszowego.

Autor w silnej scenie synagogalnej przytoczył dowody zdegenerowania religijnego mas żydowskich, zachowujących w sposób bezduszny przepisy rytuału. Ale degeneracja ta w formie stokroć silniejszej występuje i u wyższych sfer żydostwa, związanych w tajne stowarzyszenia o charakterze masońskim.

Według popartych źródłowymi cytatami poglądów autora, żydowscy kierownicy wolnomularstwa wszelkich rytów i odcieni odrzucili monoteizm, a samego Jehowę uznali za „wymysł tak zwanych proroków” (str. 320). Natomiast głosić zaczęli „religię natury”, połączoną z praktykami magii. Ukryci w tajnych związkach ci „wyznawcy religii natury” toczą bój z chrześcijaństwem, starają się *zwalczyć pojęcie Boga*, rozbić organizacje wyznaniowe, przywrócić prawa ciała, zmysłów i siły rozrodczej.

„Myśli pan”, powiada prof. Złotnicki, „że modny dziś nudyzm, nowe formy współżycia płci, to są jakieś samorzutne wyskoki? Nie, to *planowa akcja*... Wrogiem jest chrystianizm, a mówiąc ściśle *katolicyzm* — i z nim toczy się walka”.

W usta prosesora polskiej wszechnicy wkłada następnie autor takie credo masońskie: „My, budowniczowie świata, obsadzamy swoimi ludźmi ministerstwa; nie znaczy to, by *wszyscy ministrowie* byli nasi, są między nimi nawet gorliwi katolicy, ale i kierownicy państw zależni są w decyzjach swych od posiadanych informacyj. Otóż naszą rzeczą jest, by różni referenci tak informowali przełożonych, by zarządzenia wypadły po naszej myśli”.

Powieść M. Rudnickiego jest doskonale zbudowana i pełna dowcipu. Kończy się nader znamiennie: maskaradą handlową, czyli zawieszeniem krucyfiksu w kantorze młyna parowego, którego akcje trzymają ręce żydowskie.

Polecamy tę cenną książkę wszystkim, komu zdrowy rozwój państwa polskiego leży na sercu.

Autora „Żydów” nie tylko z Wybranowskim łączy pewne powinowactwo, lecz i z Prusem: jego Kupfery i Złotniccy są w prostej linii potomkami Szlangbaumów i Gutmorgenów z „Lalki”.

Podziemną dyktaturę zależnych od żydostwa tajnych związków w państwach dzisiejszych potwierdza źródłowe dzieło Roberta Vallery-Radot pod tytułem: „Dictature de la maçonnerie”, którego polski przekład, o zgrozo! od roku nie może znaleźć w Polsce nakładcy!...

Również i b. premier Francji Tardieu w książce „La profession parlamentaire” stwierdza, że w republice francuskiej nie rządzą dzisiaj ani ministrowie, ani izba poselska gdyż — „to, co rządzi pod ich imieniem, są to siły zewnętrzne, *loże*, komitety, syndykaty, często kierowane przez zagranicę, bezmandatowe oligarchie.

W. Miłaszewska.

M. ARCTA Słowniczek ortograficzny i zasady pisowni polskiej według uchwał Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności z r. 1936, wydanie nowe poprawione i powiększone. 19.127 wyrazów, 243 strony. Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa, 1937. Cena w brosz. zł 1.20, w opr. płóc. zł 2.20.

Słowniczek ten jest nadzwyczaj praktycznym podręcznym źródłem informacyj o pisowni polskiej, dostosowanym przede wszystkim do potrzeb codziennych.

Około 20.000 wyrazów stanowi ten zapas, którym operuje przeważająca większość książek, pism i dokumentów. Wykład zasad pisowni został bardzo rozszerzony w porównaniu z poprzednimi wydaniami. Dogodny układ Słowniczka pozwala na natychmiastowe odnalezienie potrzebnych prawideł, które sformułowane są w sposób możliwie nieskomplikowany i dokładny. Przy bardzo wielu wyrazach Słowniczka umieszczono objaśnienia ortograficzne, zwracając w ten sposób uwagę na odrębności nowych prawideł.

Przy dużej stosunkowo objętości cena Słowniczka jest bardzo niska; wynosi w mocnej oprawie płóciennej zł 2.20, w broszurze tylko zł 1.20.

Razem czy osobno — M Arcta Słowniczek wyrazów pisanych łącznie lub rozdzielnie. Według przepisów Akademii Umiejętności z r. 1936 ułożyła Irena Arctowa. 5.422 wyrazy, 124 strony. Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa, 1937. Cena zł —.90.

W nowej pisowni najwięcej wątpliwości budzi sprawa pisania wyrazów złożonych lub grup wyrazów, tym bardziej, że przepisy obecne odbiegają znacznie od obowiązujących dawniej norm i ortografii zwyczajowej. Ratunkiem w tych kwestiach będzie niezawodnie ta miła książeczka, w której zebrano przeszło 5.400 wyrazów. Format naprawdę kieszonkowy, druk wyraźny, cena niska.

Słowniczek ten jest pierwszy z serii „działowych” słowniczków ortograficznych; następne obejmą poszczególne 3 i inne najtrudniejsze dziedziny polskiej pisowni: 1) kiedy należy pisać *h* a kiedy *ch*, 2) kiedy piszemy *i* a kiedy *j*, 3) używanie przecinka i kropki. Słowniczki te będą się ukazywać kolejno w ciągu roku.

Ks. STANISŁAW HUET: Aleksander Manzoni. Uwagi nad moralnością katolicką”. Lwów 1937. Wydawnictwo OO. Dominikanów. Str. 92. Cena 80 gr.

W pierwszych dziesiątkach XIX wieku zasłynął włoski poeta Alessandro Manzoni. Na szczycie sławy stanął w r. 1826 przez trzytomowy romans „I promessi sposi”, tłumaczony na wszystkie języki Europy (po polsku: „Oblubieńcy mediolańscy”, W. Szymanowski 1848; „Narzeczeni”, M. z Siemiradzkich Obrąpalska, 1882). Manzoni, z urodzenia katolik, w młodych latach bezreligijny, po kilkoletniej ewolucji wewnętrznej stał się gorliwym katolikiem. Kiedy historyk Sismondi, kalwinista, stawił zarzut, że religia katolicka zepsuła charakter Włochów. Manzoni za namową zacnego ks. Tosiego napisał „Uwagi nad moralnością katolicką”.

Autor książki poznajamia nas obszernie z osobą uczonego, z jego życiem, przejściami i walkami duszy, po czym przedstawia, jak Manzoni odpowiada na zarzuty Sismondiego. Wybrał takie, które i dzisiaj są aktualne. Okazuje się, że myśli wartościowe nie tracą znaczenia po stu latach i dłużej. Sam Sismondi ze wzruszeniem podziwiał wielką delikatność „człowieka tak sławnego” w odnoszeniu się do przeciwnika. Ojciec św. Pius XI polecał katachetom „Uwagi” Manzoniego. Warto usłyszeć coś o sławnym poecie, który się zasłużył także na polu religijnym. — Szata książeczki niebogata za to cena niska. *K. R.*

BOLESŁAW TAUROGIŃSKI. Z dziejów Nieświeża. Z 70 ilustracjami. Warszawa 1937. Archiwum Ordynacji Nieświeskiej. Skład główny w Księgarni św. Wojciecha. Cena 12 zł.

Z dziejami Nieświeża i książęcego rodu Radziwiłłów, którego grodem dziedzicznym jest Nieśwież, zapoznaje pięknie odbita, wspaniale zilustrowana i ciekawie napisana książka Bolesława Taurogińskiego. „Marzyłem w młodzieńczych jeszcze latach — wyznaje w przedmowie autor — o napisaniu książki, w której pragnąłem przedstawić piękno Nieświeża i uwypuklić potężniejsze postaci książęce, z rozwojem i rozkwitem Nieświeża tak mocno związane.” W latach męskich zrobił więcej: o pięknie Nieświeża napisał piękną książkę, publikującą wartościowy materiał historyczny. Komu drogi jest smak i urok przeszłości, znajdzie w pracy Taurogińskiego lekturę naprawdę przyjemną i pożyteczną.

Dr JAN GALICZ, Z minionych lat. Przyczynki do historii ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim. Cieszyn 1937. Nakładem i drukiem „Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra”. 8°, str. 149, cena 1 egz. 180 zł.



Król Karol II i minister Delbos.



Misjonarz dalekiej północy o. Henryk Père, oblat, przygotowuje sobie posiłek.



Nowy rząd rumuński z premierem Gogą na czele.
Szef lotnictwa polskiego gen. L. Rayski odbiera w Berlinie honory wojskowe.

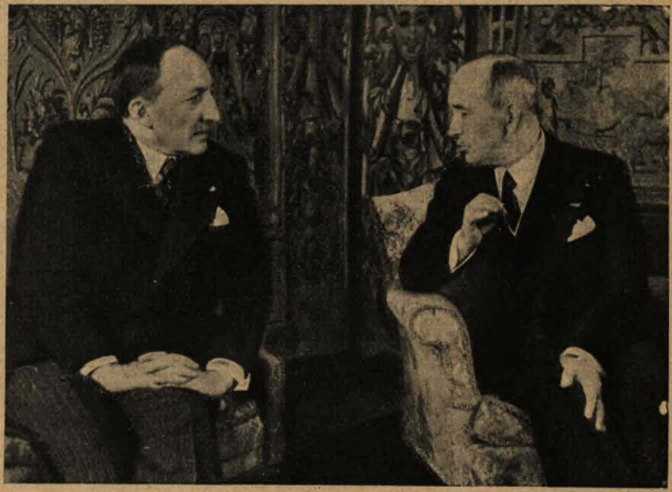




Zdobywcy Nankinu viceadmirał Kiyoshi, gen. I. Matsui, gen. Yashuhiko Asaka i porucznik Yanagawa.

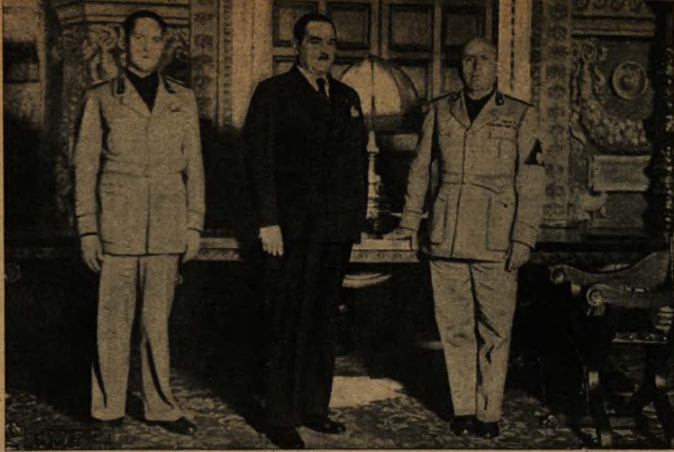


Tymczasowy gabinet chiński utworzony przez zwycięskich Japończyków.



Prezydent Benesz i minister Delbos.
Następca tronu greckiego ks. Paweł z nowopoślubioną żoną, wnuczką Wilhelma II, Fryderyką.





Mussolini, premier jugosłowiański Stojadinowicz i min. Ciano.



Polska delegacja wojskowa w Rzymie składa wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza.



Odsłonięcie biustu marszałka Piłsudskiego w Rzymie.



Delegacja wojskowa w Rzymie z generałem Wieniawą-Długoszewskim na czele, przyjęta przez ministra Ciano.





Nowy gabinet egipski.
Nowokreowany kard. angielski Hinsley po powrocie do Londynu.

Gabinet egipski zdymisjonowany przez 18-letniego króla Faruka.
Rolnicy włoscy agitują za autarkią gospodarczą.

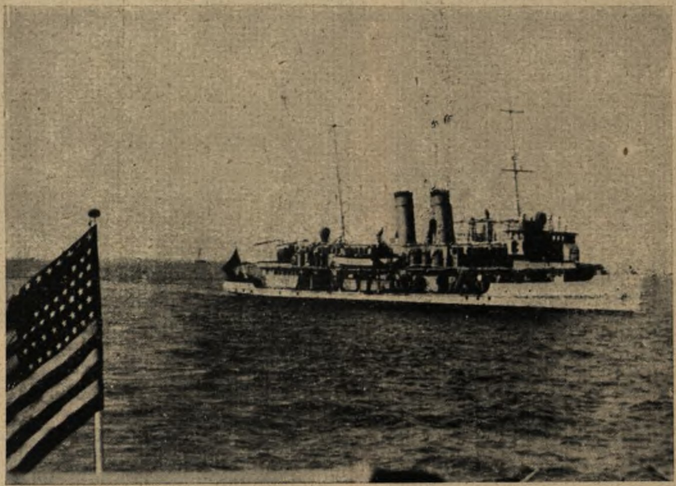






Cesarz Japonii Hirohito.







Zbombardowana przez latawiec japoński kanonierka „Panay".



Pierwsza od góry z prawej strony: *Komendant latawca japońskiego, który zbombardował kanonierkę „Panay".*

Druga z prawej strony: *Młodzież japońska wiwatuje przed pałacem cesarskim.*

Trzecia z prawej strony: *Niebezpieczny pocałunek.*

Pierwsza od góry z lewej strony: *Kapitan kanonierki „Panay", zbombardowanej przez lotnictwo japońskie.*

Druga z lewej strony: *Japońska młodzież szkolna wiwatuje na cześć armii.*

Trzecia z lewej strony: *Ustępujący generał angielski Sir Hugh J. Elles dokonuje ostatni raz przeglądu kadetów.*







Dział Kobiecy

DLA DUSZY

Fałszywa swoboda umysłu i zbyteczne ufanie samemu sobie, wielce się sprzeciwi niebieskiemu nawiedzeniu.

Bóg wielkie dobro czyni człowiekowi, dając mu łaskę pociechy; lecz człowiek źle czyni, gdy nie wszystko Bogu przypisuje i nie za wszystko Bogu dziękuje.

I dlatego dary łaski Bożej, obficiej na nas nie spływają, że względem ich Dawcy niewdzięczni jesteśmy i że nie wszystkie te dary odnosimy do ich pierwotnego źródła.

Zawsze bowiem łaska należy się temu, kto za nią wdzięcznym być umie; i zwykle Bóg odejmuje ją pysznemu a daje pokornemu.

Tomasz à Kempis.

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

PIĘKNA POLSKA MOWA, TO SKARB NARODOWY

Czy skarbu tego strzeżemy, czy nie obniżamy jego całości, czy go nie marnujemy brakiem należytego czuwania nad jego normalną wartością?

W swoim czasie, to znaczy niedawno, bo w r. 1935, wyszła piękna książka, napisana przez dra Henryka Maryańskiego, adwokata, pod tytułem: „Kult żywego słowa, studium o wymowie i rodzaju krasomówstwa", nakładem Księgarni F. Hoesicka.

Będąc fanatyczką pięknej mowy naszej, najstaranniej książkę przeczytałam i z radością zobaczyłam, że to już jej „drugie wydanie", co świadczy nie tylko o jej wartości, ale jest niezbitym dowodem gorącego przyjęcia przez ogół ważnej jej treści.

Recenzje, oczywiście z gorącym miłośnikiem mowy polskiej na czele, p. Adamem Grzymałą-Siedleckim, którego każdy artykuł jest wzorem polszczyzny i harmonii użytego słowa, jednogłośnie rozniosły wyrazy największego uznania dla autora za podjęty przezeń trud. Ale, czy w przystosowaniu do życia nie popełniamy nadal tych samych przewinień do dziś?

O trwale powtarzającym się codziennym grzechu względem języka polskiego świadczy: niestaranna popularna prasa, świadczą pisma urzędowe, które nie mogą wyzbyć się zwrotów w swej konstrukcji obcych językowi naszemu, świadczą też skargi poważnych recenzentów, napominających o złe wyczucia naszej budowy zdań — w tłumaczeniach z obcych języków. Ale nade wszystko, głośnym echem odbijają się nad wyraz bolesne skargi wytwornych bywalców teatralnych, którzy nie przestają dopominać się o piękną dykcję na scenie. Kiedyś, tylko z ambony i ze sceny słyszeć nam było wolno głośno brzmiące słowo polskie, zawsze, dodać trzeba, czy niemal zawsze nie tylko doniosłe w treści — ale i piękne w formie.

A dziś, kiedy to wolne polskie słowo mamy nie tylko w kościele, ale i w sądzie, w Sejmie i Senacie, w mnogich przemówieniach czy to wobec narodowych uroczystości, czy przy okazji czczenia pamięci zmarłych, czy chwały żyjących, czy przemówienia okolicznościowe, czy polityczne, czy wolno nam nie myśleć o zachowaniu tego obowiązku, względem przebogatej spuścizny naszych pisarzy minionego wieku, którzy zostawili nam klejnoty, skarby, cuda mowy polskiej, we wszystkich jej odłamach, czy to trenach Kochanowskiego, czy kazaniach Skargi, czy poezji, czy prozy, mimo w ostatniej epoce niewoli szkół, w języku rosyjskim prowadzonych.

Co więcej, wobec zakazów głośnego mówienia po polsku i tej gehenny cierpień, jakie przeżywaliśmy, w swej godności, że nie możemy tym wielkim dorobkiem szczycić się i rozporządzać głośno według własnej woli.

Nic nie pomogły nakazy szkolne Apuchtina. Nawet siedząca na Zygmuntów Zamku Maria Andrejewna, która mówiła, że „dzieci w kołyskach będą musiały uczyć się mowy rosyjskiej przede wszystkim", nie dała nam rady. Ze szkół rosyjskich wychodzili autorowie, piszący najczystszą Kochanowskich mową, dzieci pacierz mówiły po polsku.

Więc, cóż dziś do nas należy?

To, co w wielu wypadkach jest niezawodnym lekiem: zbiorowa, stała, sumienna czujność wszystkich, a nade wszystko rodziny polskiej i domu polskiego, nad utrzymaniem czystości języka, wymaganiem dobrych tłumaczeń z języków obcych i pięknej dykcji na scenie, w której nie powinien się zatracić żaden dźwięk, żaden wyraz, żaden odcień tej mowy, która ma nieprzebrane skarby, a które szanować jest naszym obowiązkiem.

Matki, panie domów — czuwać winny, aby dzieci od wczesnych dni, uczyły się i umiały pięknie mówić, od szkoły wymagać staranności w tym kierunku i wszczepiać w dzieci miłość dla pięknej mowy polskiej, która tego warta.

L. Kotarbińska.

OPŁATEK W CHRZEŚCIJAŃSKIM ZW. RĘKODZIELNICZEK »DŹWIGNIA«

We własnym lokalu, gdzie od rana do nocy furczą maszyny, w tej chwili śliczną choinkę otoczyła młoda gwardia pracownic igły. Koło fortepianu stanął chór żeński i męski i pod dyrekcją p. Mikina, dyrektora chóru „Gloria", przy kościele pokarmelickim, popłynęły zgodnym rytmem śpiewane kolędy. Związek „Dźwignia", który podczas wojny w swej świetlicy przyjmował co niedzielę naszych żołnierzyków, dając im miłą rozrywkę, zwykł był co roku przy wigilijnym stole gromadzić stu żołnierzy, a w ostatnim roku wojny, w koszarach

przy Koszykowej, stoły były nakryte na siedmiuset, z którymi łamał opłatek sam naczelnik Piłsudski.

Wszelka dobra tradycja w Związku jest szanowana — więc łamanie opłatka z życzeniami pomyślnego roku rozpoczęła obecna przewodnicząca Związku Szanowna Pani dr. M. Skłodowska, wraz z honorową przewodniczącą, p. L. Kotarbińską. Wspomnieniem dawnych chwil, w których pracownice szyjące śpiewały: „Z naszych rąk szyte koszule, szły prosto pod kule” wzruszyła obecnych, którym życzyła, aby te ciężkie dni nie wracały, a pieśń szła przed Tron Najwyższego radosna z wolności Ojczyzny, a dziękczynna za pracę, której oby nigdy nie zbrakło!

Parę chwil zostało jeszcze na taniec. Namawiać do tego było zbyteczne. Bawiono się ochoczo z tą beztroską, jaką daje młodość.

Niechże będzie zawsze w tej „Dźwigni” tak zbożnie, tak ochoczo, tak radośnie i przy zabawie i przy pracy!

K.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

PRACA SPOŁECZNA I DOM. — OSTROŻNIE Z ELEKTRYCZNOŚCIĄ. — OPIEKA NAD PSYCHICZNIE CHORYMI.

Wiedzieć trzeba, wiedzieć należy, że nie powinno być kobiety, która by się nie poczuwała do współudziału w pracy społecznej. Dom, mąż, dzieci, to niezawodnie pierwsze obowiązki i tych dla żadnych postronnych zaniedbywać nie wolno. Ale, skoro ten dom pochłania cały czas, skoro obsługa jego nie pozwala na żadne zajęcia wymagające przeniesienia pracy swej na zewnątrz, to choćby najmniejszym udziałem materialnym musimy popierać te cele, dla urzeczywistnienia których pieniądz jest niezbędny. Celów mamy mnóstwo. Ofiarność ludzka ogromna, ale wobec tego, co się na całym świecie dzieje, musimy pamiętać o tym, co wszyscy dziś powtarzają, że: aby unikać wojny, trzeba mieć kraj zaopatrzony w silną armię.

Za mały udział bierzemy w organizacjach społecznych, bo nie mamy na to czasu. Zgoda.

Więc zapisujmy się na członków tych organizacji i z małych groszy twórzmy wielkie sumy, które zużytkuje: Liga Morska i Kolonialna” i „Liga Obrony Powietrznej Państwa”.

Składki są 1-złotowe, 50-groszowe i 10-groszowe dla członków zbiorowych. Gdybyśmy wszystkie, a jest nas, co najmniej piętnaście milionów, chciały płacić miesięcznie tylko po 10 groszy na te instytucje, proszę obliczyć, ile by to zbudować można samolotów, ile ścigaczy!

Gdybyśmy chciały wszystkie!

Adres do zapisów na członka L. M. K. Marszałkowska 151, II p.

Wiedzieć koniecznie trzeba, że nigdy za dużo ostrożności w obchodzeniu się z elektrycznością. Widzieliśmy straszne skutki, utraty ręki, z powodu uderzenia prądem przy wkręcaniu nieumiejętnym żarówki.

Informując się o tym u źródła notujemy, co następuje:

Zdawałoby się, że rzecz jest zupełnie prosta i że potrafi jej dokonać nawet dziecko.

A jednak i ta prosta czynność, jaką jest wkręcanie żarówek, wymaga pewnej umiejętności, jeżeli chce się uniknąć niebezpieczeństwa, nieraz bardzo groźnego, a przynajmniej nieprzyjemnego wstrząsu.

Chodzi o to, że przy wkręcaniu żarówki nie należy dotykać palcami jej metalowych części, gdyż łatwo narazić się można na porażenie prądem.

Należy pamiętać, że oprawka lampy może być podczas wkręcania pod napięciem. Jeżeli wówczas dotkniemy palcem części metalowej pod napięciem, to możemy otrzymać uderzenie prądem, które u osób o słabym sercu może zakończyć się tragicznie. Porażenie jest szczególnie niebezpieczne, jeżeli osoba porażona stała w przemoczonym obuwiu, co ułatwia spływanie prądu elektrycznego do ziemi.

Wiedzieć pożytecznie, a objaśniać drugich należy, że do niedawna opieka higieniczno-lekarska nad psychicznie chorymi polegała na umieszczaniu chorych w zakładach zamkniętych. Obecnie na czoło metod leczniczych w dziedzinie chorób psychicznych wysuwa się nowy system leczenia tzw. opieka pozazakładowa. W ramach tej opieki chorzy psychicznie, bezpieczni dla otoczenia, umieszczani są za opłatą przy rodzinach obcych (każdy z nich posiada oddzielne pomieszczenie).

Ośrodki opieki pozazakładowej położone są w pobliżu zakładów zamkniętych dla psychicznie chorych. Pacjenci ulokowani przy rodzinach mogą być systematycznie odwiedzani przez lekarzy i pielęgniarki.

ZE ZWIĄZKU PAŃ DOMU

Na rynku księgarskim ukazał się ciekawy i pożyteczny Kalendarz-Poradnik z dziedziny gospodarstwa domowego, wydany przez Związek Pań Domu. Wiadomości, zebrane w Poradniku, obejmują najżywotniejsze zagadnienia, związane z prowadzeniem domu, a więc: budżet i rachunki, organizacja pracy, wiadomości prawne, racjonalne wnętrza i urządzenia domowe, żywienie i jadłospisy, wskazówki, dotyczące wychowania i żywienia dzieci, wreszcie wiadomości dotyczące pielęgnacji kwiatów i zwierząt domowych.

Kalendarz w każdym miesiącu przypomina o obowiązkach sezonowych pani domu i udziela różnych praktycznych rad i wskazówek.

Staranne wydawnictwo, przyjemna szata zewnętrzna, 450 stron tekstu, liczne ilustracje, za cenę tylko zł 2.50.

ŁAD W DUSZY

Nie należy nigdy żałować sprawiedliwego czynu, choćby w ślad za nim szła najwyższa niewdzięczność. Robi się dobrze dla korzyści drugich, nie dla swojej. Nagrody czekać nie trzeba.

Nigdy człowiek nie czuje takiego upokorzenia, niesmaku, żalu, jak w tej chwili, w której doszedł do świadomości, że w jakimś momencie był — zły.

Zmiana wrażeń bywa potrzebą i natur głębszych. Zmiana uczuć najczęściej tylko — płytkich.

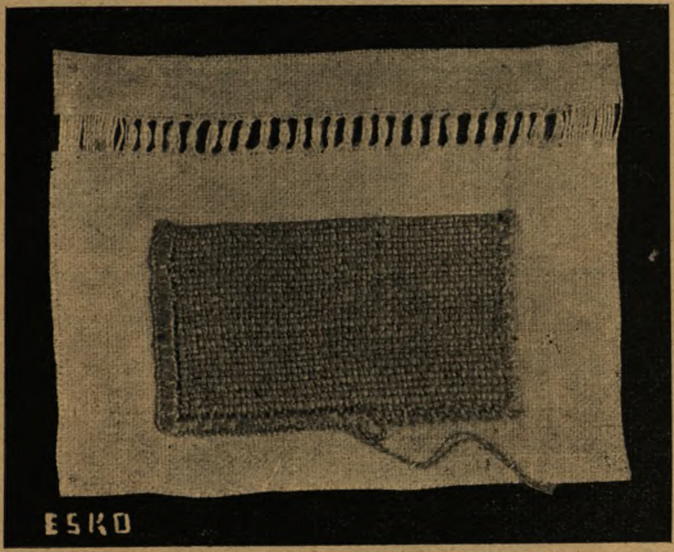
Gleba może być nie zasiana, zniesione domostwo, puste spichlerze. Ale pełne miłości, pełne miłosierdzia i dobrej woli musi być zawsze ludzkie serce.

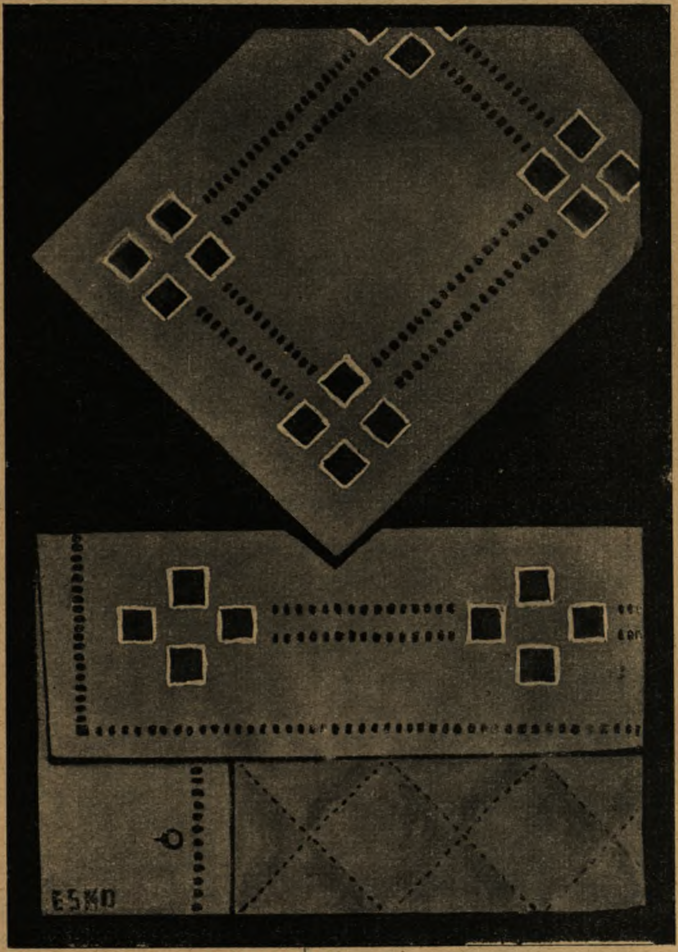
Najpewniej zwycięża przeciwności ten, kto z rozwagą walkę obmyśli i wytrwale, ze spokojem dąży do osiągnięcia wytkniętego celu.

Pogoda lica — to najczęściej i jasność duszy.

GARNITUR POŚCIELOWY

Podany dzisiaj model jest modnym wykończeniem bielizny pościelowej. Można ten garnitur wykonać z białego płótna lub białego batystu. Kwadraciki są kolorowe, dobrze jest gdy się je dostosuje do koloru kołdry, co tworzy bardzo harmonijną całość. Do płóciennej bielizny używają panie kolorowego płótna





lnianego, a do batystu kolorowego batystu lub jedwabnego płótna.
Na próbce dłuższy bok stanowi naturalną wielkość boku kwadratu, mereżka naturalnej wielkości.

W prześcieradle trzeba zacząć od wymereżkowania obrębu, następnie wymierzyć ile razy zmieści się motyw z kwadratów — narysować — kwadrat wyciąć z papieru, według tego bardzo starannie z materiału, najlepiej po wyciągnięciu nitki, przyfastrygować, obszyć gęstymi ściegami, jak to pokazane na próbce, a potem brzegi wydziergać lub obszyć gęstą okrętką. Po skończeniu kwadratów wyciągać mereżki. To samo robimy na poszewce. Najprzód umieszczamy kwadraty na rogach, a dopiero potem wyciągamy mereżki.

Kwadraty wykańczamy muliną w kolorze kwadratu.

E. K. Onichimowska.

Wskazówki dla członków stowarzyrzeń.

1) Nie uczęszczaj z zasady na zebrania.
2) O ile jednak wypadkiem raczysz przyjść na zebranie, zjaw się z godzinnym opóźnieniem.
3) Cokolwiekby na zebraniu zaszło, oskarżaj o to kierownictwo.
4) Krytykuj bezwzględnie i stale tych, którzy cokolwiek w stowarzyszeniu robią, a stronników zawsze znajdziesz.
5) Nie przyjmuj nigdy żadnego stanowiska.
6) Pamiętaj, że gdy zaczniesz coś realnego robić, zabraknie ci czasu na „ujadanie".
7) Nie wyjawiaj nigdy jasno swego zdania.
8) Sam nie rób nic, przeszkadzaj w pracy innym.
9) Nie śpiesz się z zapłaceniem składki członkowskiej, wymyślaj za to, że stowarzyszenie szafuje groszem publicznym.
10) Nie werbuj nowych członków stowarzyszenia.

Złośliwy żart — ale nie zły. —

Piękne myśli

Historia— jest to rozum wielu ludzi, zebrany w jedno; kto jej nie zna, jest jak dziecię, nieznające ojca i matki.

Skarga.

To, co przez tyle pokoleń zabagniało, nie da się oczyścić przez fakt odbudowania państwa. Trzeba odbudować duszę narodu.

Roman Dmowski.

SUKNIA WIECZOROWA Z TIULU

Suknia uszyta z czarnego tiulu, a obszyta koło wycięcia i dołem czarnymi atłasowymi wstążkami. Rękawy krótkie, kimonowe. Stanik nieco przymarszczony. Spódniczka w biodrach gładka, u dołu rozchodzi się sporym kloszem. W pasie suknia wykończona aksamitnym paskiem, związanym z przodu na kokardę. Podajemy jako wykończenie tej toalety wianuszek z kwiatów, który można przypiąć z przodu, koło wycięcia, albo wiązankę przypiąć na ramieniu. Do wieczorowych sukien używa się miekkie woreczki z lamy.





SUKNIA WIECZOROWA Z TAFTY

Suknia ta z jasnej tafty, z przodu podchodzi pod szyję i jest wykończona podłużną wiązanką kwiatów, z tyłu od ramion wycięcie sięga do pasa. Rękawy mocno bufiaste, również kokarda na boku, wykonana z ciemniejszego odcienia tafty. Spódniczka lekko zmarszczona, u dołu szeroki klosz.

Torebka z lamy złotej albo srebrnej, zależnie od koloru tafty, pantofelki w kolorze sukni.

Do teatru można włożyć na głowę obwódkę, ze skręconej lamy, zakończonej pęczkiem piór.

E. K. Onichimowska.

BÓL GARDŁA . .

Nieustanne zmiany, na jakie narażony jest organizm w zimie, przyczyniają się do częstych wypadków przeziębień, powodujących nieraz groźne następstwa. Gdy kto odczuwa ból gardła, dreszcze, złe samopoczucie — jest to pierwszą oznaką przeziębienia. Zanim choroba się rozwinie, wczesne użycie tabletek do ssania Panacrin zniszczy bakterie chorobotwórcze, które osiedliły się w ustach i gardle. Zabezpiecza się w ten sposób organizm od choroby, a cały dom od wydatków i kłopotów. Toteż wszyscy powinni pamiętać, iż zapobieganie anginom i chorobom z przeziębienia za pomocą Panacriny, to najlepszy sposób na choroby.

Z GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Jeszcze przepisy do bufetu z nadmienieniem, że proporcję dajemy na liczne przyjęcia, które można stosować do zupełnie małych, zmieniając je dowolnie do połowy, czwartej części itd. —

AUSZPIK Z KUROPATW

Przepis: Upiec 15 kuropatw. Wystudzić. Obrać mięso z kości, dzieląc każdą połówkę piersi na 2 części. Ułożyć w formach lub w okrągłych salaterkach. Zalać galaretą, którą należy przyrządzić, gotując przez 2 godziny, 1 nóżkę cielęcą porąbaną na kawałki, marchew, pietruszkę wraz z nacią, seler, trochę kostek z kuropatw, kawałek drobno pokrajanej chudej szynki, 2 cebule, 4 ząbki czosnku, kilka ziarnek pieprzu, szklankę czerwonego wina, ½ szklanki octu i 3 szklanki wody. Przecedzić płyn przez gęste sito, dodać słoiczek galaretki porzeczkowej lub soku z konserwy borówkowej, kilka kostek bulionu, soli do smaku, ewentualnie trochę karmelu.

PASZTET W GALARECIE

Drobniejsze kawałki kuropatw, ¼ kg słoniny, 1 kg wieprzowiny, 10 cebul, 10 suszonych grzybków ugotować na miazgę. Pod koniec duszenia dołożyć ¾ kg wątróbki wieprzowej. Do smaku, po wyjęciu mięsa, włożyć 4 kajzerki. Wszystko przepuścić trzy razy przez maszynkę, dodać korzeni, 5 jaj, osolić, wyrobić dokładnie i kłaść do garnka wysmarowanego tłuszczem. Gotować na parze przez 45 minut. — Zostawić w formie do następnego dnia. Wyjąć, pokrajać w plastry i zalać galaretą. —

Na galaretę wziąć gorącego smaku z jarzyn, wrzucić 5 listków żelatyny na ½ litra smaku, wystudzić i zimnym ostrożnie zalać ułożony na półmisku pasztet.

SURÓWKA Z JARZYN

Przepis: Poszatkować drobno ½ główki kapusty, lekko pocukrzyć. Dodać utartą na jarzynowej tarce marchew, cały seler, trochę pietruszki, 2 jabłka, ogórek kwaszony lub surowy, pęczek rzodkiewki, ukrajać kilka pomidorów i wymięszać wszystkie jarzyny z sosem majonezowym.

SAŁATA JARZYNOWA

Przepis: Kilka ugotowanych kartofli pokrajać w drobną kostkę, dodać ugotowanych jarzynek, jabłko, ogórek kwaszony, grzybków marynowanych, przyprawić do smaku kwasem z ogórków lub sokiem żurawinowym, ewentualnie octem, oliwą, soją, cukrem, musztardą, solą. Wymięszać.

SOS WITAMINOWY

Po garstce szczawiu, szpinaku, pietruszki zielonej, rzeżuchy usiekać bardzo drobno i utrzeć w miseczce z okrojoną ze skórki kajzerką dużą lub 2 małymi wymoczonymi w mleku i lekko wyciśniętymi. W czasie ucierania dodać 2 żółtka na twardo i 1 żółtko surowe. Gdy masa „wygładziła" się, dodawać po trochu oliwę, soję (1 litr lub więcej), doprawić cytryną, cukrem, solą, musztardą, dodać białka z jajek, ugotowanych na twardo, bardzo drobno posiekanych.

SOS MAJONEZOWY

Dwa surowe żółtka ucierać w miseczce, dodawać po trochu oliwy, soi, soli cytryny, musztardy, cukru, rozprowadzić ugotowanym zimnym mlekiem do pożądanej gęstości. *Wład.*

SPROSTOWANIE

W numerze styczniowym wkradły się następujące błędy drukarskie. W wierszu siódmym od dołu, w kolumnie pierwszej należy napisać *bryndza*, a w szóstym *pół ćwierci klg* kawioru i *pół ćwierci klg* wędzonego łososia.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. W. Z. z Kalisza... Tylko wielka oszczędność całego narodu sprowadzić może równowagę materialną. A „o moralną" pyta Pani, jak ją zdobywać? Wiarą w siłę pracy i w błogosławieństwo Boże zacnych przedsięwzięć.

Pannie M. K. z Włocławka. Niech Pani dalej tak energicznie pracuje, a zwycięstwo pewne. Byle kochać to, co się robi, to i pełne zadowolenie przyjdzie. „Przeciwności", pisze Pani. A któż ich nie ma? Ale opuszczać rąk nie można, zrażać się drobnostką — nie wolno.

Młodość, zapał, wiara w jutro, to wszystko rynsztunek do życia pewny. Więc jeżeli te warunki posiada Pani — to tylko iść dalej i witać każde jutro radośnie.

P. Marii Korot... w Zaciszu. Śp. Józef Jankowski, poeta czystej duszy, w pięknym wierszu pt. „Daj, byś miał!" — chrześcijańskim duchem przepełnionym, pisze:

„Samolub wstrętny
Ciągle o sobie li pamiętny:
Przy pełnym stoi żłobie.
Ślepiami baczy, by kruszyna
Nie spadła mu, litością tknięta . . .
O, jak nie wyrósł nad zwierzęta.
Człowiek prawdziwy się poczyna
Właśnie dopiero, gdy pamięta
O innych, nie o sobie.

. . . .

Niech Nowy Rok, ze wszelkim złem
Kończąc, budując nowy dział
Z powszechnym polskim hasłem tym
Powstanie: Daj, byś miał!"

P. Zofii K. w Warszawie. Bardzo dobry pensjonat polecić Pani możemy w Aninie. Śliczna willa, centralne ogrzewanie, kanalizacja, elektryczność, telefon. Na żądanie kuchnia dietetyczna. A wszystko to za bardzo przystępną cenę. Z właścicielką p. Stanisławą Courrier najlepiej porozumieć się telefonicznie, II Podmiejska. Anin 4.

P. Z. K. w Płocku. Niech Pani zażąda w księgarni, albo jeszcze lepiej zwrócić się do Oddziału Ligi Morskiej i Kolonialnej w Płocku, a dostanie Pani wszelkie informacje dokładnie. Książeczek, ilustrujących żadanie i cele Ligi, wyszło dużo. Między innymi jedna zatytułowana: „Dlaczego musimy mieć kolonie?" a w niej odpowiedź, która panią uspokoi, że dla wielu bezpośrednich przyczyn normalnego rozwoju kraju, a nie, jak to Panią mylnie objaśniono, dla wywożenia na nie Żydów, których, oczywiście, mamy zbyt dużo, ale nie dla nich musimy zdobyć kolonie, a dla własnych rynków zbytu, dla terenów naszej emigracji, dla umocnienia powagi państwa.

Pannie Zofii z Radości. Kursy krawiecko-bieliźniarskie prowadzi Chrz. Zw. Rękodz. „Dźwignia", Warszawa 1, Zgoda 6, m. 3, telefon 296-05. Po ukończeniu uczennice dostają świadectwo.

Praktycznej w Aninie. Wszelkich pięknych robót nauczy się Pani u p. El. Onichimowskiej, Hoża 34, m. 9, telefon 8-42-27. Dziś tak piękne są ręczne roboty, że warto im poświęcić trochę czasu. Śliczne koronki, hafty, roboty szydełkowe, wytłaczanie na skórze, wszystko to i pięknie może zdobić dom i znacznie mniej kosztować, bo gotowe musi być i droższe.

Pani W. Mark... w Suwałkach. W lipcu ub. roku, przybyła do Warszawy delegacja Związku Narodowego Polskiego ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i złożyła na ręce Komitetu Budowy Kopca w Okrzei, dla uczczenia Henryka Sienkiewicza 120 dolarów (630 zł). W tej chwili w Warszawie zawiązał się komitet, którego celem będzie zdobycie funduszu na uczczenie pomnikiem, pamięci naszego wielkiego pisarza.

P. L. Mor... w Brwinowie. Polecamy „Kalendarz Matki" na rok 1938, odpowiadający wszystkim potrzebom domu polskiego. Ani słowa o marnowaniu czasu przy brydżu!!!

WSPOMNIENIE

(Z prawdziwego zdarzenia).

Otoczyły dzieci dziadunia i nuż prosić o jakąś opowieść. — Ale nie bajkę — prosiła Alunia — coś prawdziwego. — Tak, tak — dodał Wacio — coś, jak dziadzio był mały. — Mały, mały — wykrzyknął Henryś i z radości zaklaskał w rączki, takie mu się to zabawne wydało, że i dziadunio też kiedyś był dzieckiem. — Jak byłem mały — powtórzył z zadumą dziadunio — strasznie to już dawno było, oj dawno... — Nic dziadzio nie pamięta? — z rozczarowaniem szepnęła Ala. W tej chwili z sąsiedniego pokoju odezwało się cichutko radio, ktoś śpiewał stłumionym głosem: „W krwawym polu srebrne ptaszę — poszły w boje chłopcy nasze.....” — nastawił ucha dziadzio i uśmiechnął się rzewnie: — Powstanie! Skąd ta piosnka z 1863 roku? — A bo przecież teraz siedemdziesięciopięciolecie powstania jest, to ciągle o tym mówią i śpiewają — objaśnił z powagą Wacio. — Już 75 lat — pokiwał głową w zadumie dziadunio — a mnie się zdaje, że to wczoraj... —A dziadunio był w powstaniu? — zapytała ciekawie Alunia. — Ja nie — odparł dziadzio — byłem bowiem wtedy takim smykiem, jak wy teraz, ale byli moi starsi bracia, wuj ukochany..... jedno przeżycie z tych czasów pamiętam, może was zainteresuje. — Słuchamy, dziaduniu, słuchamy! — wykrzyknęły dzieci, przysuwając się bliżej dziadziowego fotela, a Ala rączką buzię Henrysiowi zasłoniła, by przedwczesnymi pytaniami nie przeszkodził dziaduniowi. Zapatrzył się staruszek przed siebie i jął prawić: — Małym chłopcem ja byłem, ale wszystko, jak dziś, pamiętam. Zima marna była, śnieg co naprószył to topniał, więc korzystaliśmy, my dzieci z każdej okazji, by przy lepszej pogodzie zimowych przyjemności używać.

Pewnego dnia wróciwszy do domu na podwieczorek, usłyszałem głosy jakieś. Ktoś obcy rozmawiał z moją matką. Przechodząc koło drzwi usłyszałem słowa: niebezpiecznie... kto przeprowadzi... a potem stłumiony łzami głos matki — jeśli trzeba, to najlepiej Józio.... Zaciekawiony zatrzymałem się usłyszawszy swoje imię... ale doleciała mnie jeszcze tylko odpowiedź matki, na cicho wypowiedziany sprzeciw: „mały, ale roztropny, zaufać mu można”... Serce mi zabiło z dumy, ale w tej chwili spostrzegłem, że podsłuchuję, zawstydziłem się okropnie i szybko przemknąłem do stołowego pokoju, gdzie już czekał podwieczorek. Za chwilę weszła matka, a z nią jej brat młodszy, student z Warszawy, ukochany nasz wuj, który spędzając u nas wszystkie wakacje, uczył nas i bawił. — Wuj Ignaś, wuj Ignaś! — krzyknęliśmy — jak to dobrze, że wujek przyjechał, czy na długo? — wołaliśmy, tłocząc się jedno przez drugie. — Nie, nie na długo — odpowiedział śmiejąc się — dziś wieczór jadę, chciałem zapolować, ale podobno polowanie w tym roku marne. — Matka dziwnie westchnęła i przez łzy spojrzała na wuja, ale nic się nie odezwała. Wesoło zeszedł nam czas od podwieczorku do wieczerzy, ale tu koniec był radości, bo matka nas bezapelacyjnie spać wyprawiła, wbrew utartym zwyczajom, gdyż zwykle w pierwszy wieczór po przyjeździe wuja wolno było nam dłużej marudzić. Radzi nie radzi udaliśmy się na spoczynek. Ja zajmowałem spory pokój, obecnie samotnie, bo starsi bracia w szkołach byli, a jak się później okazało, to w tej porze, już do powstania się przyłączyli i dobrze grzali Moskali.

— Ale co to ja chciałem powiedzieć, aha, że dosyć niechętnie powlokłem się do swego pokoju, spać mi się nie chciało, więc oparłem się o stół i dumać zacząłem. Coś mnie niepokoiło, jakieś wieści głuche chodziły, że Moskale przemocą młodzież do wojska w Warszawie brać zaczęli, że młódź się nie dała, że uciekli do lasów. Stary nasz rządca, wojak z 1831 roku, pokręcał siwego wąsa, wyprostował się, z oczu skry mu się sypały i jakoś lżej pociągał nogą, w której tkwiła stara kula spod Ostrołęki. Coś się działo, ale my, dzieci, nie śmieliśmy pytać. — Rozmyślania moje przerwało wejście matki, zerwałem się na równe nogi, oj będzie bura, że jeszcze nie leżę. Ale, o dziwo, matka spytała łagodnie — jeszcze nie śpisz, Józiu? to dobrze! — i nagle nachyliwszy się nade mną zaczęła szeptać gorączkowo: — Włóż ciepły kożuszek, buty. Pójdziesz z wujem. Zaprowadzisz go do leśniczego Grodzisza, ale pamiętaj, Józiu, nikt o tym nie ma wiedzieć, czy dotrzymasz.... — Słowo Polaka daję, matko — odpowiedziałem dumnie, nie bardzo rozumiejąc o co chodzi, ale przejęty tajemnicą i moim w tym udziałem... Uśmiechnęła się matka, przytuliła do serca, krzyżyk na czole nakreśliła i śpieszyć się kazała. Pozwoliła mi też wziąć z sobą pierwszą lekką broń myśliwską, którą na gwiazdkę dostałem. — Można — przyzwoliła matka — będzie to wyglądało, jakobyś na wrony wyszedł. Zgasiła światło i cichutko wyprowadziła mnie bocznym wyjściem do ogrodu, tam w cieniu starej alei czekał wuj Ignaś. Zobaczywszy mnie uśmiechnął się wesoło i rzekł: — Chodźmy, towarzyszu! — W milczeniu, jak cienie, przemknęliśmy koło zabudowań dworskich, potem łąką na przełaj, polem, często się oglądając, czy nas kto nie widzi. — Bo ja już oficjalnie odjechałem — tłumaczył mi wujek. — Co to wszystko znaczy? — spytałem go nieśmiało. Ale wuj przyłożył palec do ust. — Teraz cisza, po polu głos niesie... — Wędrowaliśmy w milczeniu. Wreszcie dotarliśmy do lasu, coraz głębiej i głębiej zanurzaliśmy się w leśny ostęp. — A nie zmylisz? — pytał wuj. — Ja? Do pana Grodzisza z zamkniętymi oczyma trafię, ileż razy z ojcem tu jeździłem! — Tak co prawda dziarsko zapewniałem, ale co innego było jechać konno lub wygodną bryczką w dzień biały, a co innego późnym wieczorem błąkać się po lesie. Szliśmy równo, prędko. — Chwila odpoczynku — zakomenderował wujek. — Wujku — ośmieliłem się zapytać — a co to będzie za polowanie i dlaczego nie wolno mówić? — Popatrzył wuj na mnie i mimo, że noc ciemna zapadała, widziałem jak mu się oczy rozjaśniły. — Oj, będzie polowanie, będzie — powiedział zdławionym szeptem — trzeba tylko cicho, żeby się zwierzyna przed czasem nie zwiedziała i pazurów nie wyostrzyła... i nagle, przyciągnąwszy mnie do siebie, zaczął mi szeptać do ucha, że powstanie w Warszawie wybuchnęło, że on się do partii przekrada, co w tych lasach się formuje, że Polska będzie... wywalczymy ją naszymi rękami — mówił z entuzjazmem — ale pamiętaj, Józiu, nikomu jeszcze ani słowa. Przycisnąłem ręką bijące serce i zdjąwszy czapkę powiedziałem cicho: — Może wuj być spokojny, będę milczał jak grób, tak mi Panie Boże dopomóż i święta męko Jego! — Wuj mnie chwycił za ręce i tak staliśmy chwilę spleceni we wspólnym uścisku. — Zginiemy my — powiedział wzruszonym głosem — ale nie zginie Ojczyzna, która w małych dzieciach takie serce wzbudza.

— Księżyc zaczął przyświecać między gałęziami, przyśpieszyliśmy kroku. Po półgodzinnym marszu ozwało się szczekanie psa i leśniczówka zamajaczyła przed naszymi oczyma. Wuj zastukał trzykrotnie w drzwi, a potem nacisnął klamkę... Weszliśmy, sprzed komina podniósł się ogromny mężczyzna i zerwały się warcząc dwa psy. — Cicho, leżeć przyjaciele! — odezwał się Grodzisz, psy jakby rozumiejąc pokładły się mu u nóg. Siedliśmy przed ogniem, grzejąc zmarznięte ręce. Grodzisz poczęstował nas gorącym krupnikiem, piłem palący i słodki trunek i patrzyłem na wuja i Grodzisza, którzy zetknąwszy się głowami coś z sobą szeptali. Zmożonemu drogą po mrozie, ciepłem komina i nienawykłemu do trunków mącić się mi w oczach poczęło, zdawało mi się, że koło wuja i Grodzisza widzę jakiegoś mężczyznę w czamarce i burce, z rogatywką w ręce, to znów słyszałem stuk drzwi i widziałem Grodzisza samego wpatrzonego w ogień, nie wiem co i jak było naprawdę, bo mnie sen zmorzył i gdy otworzyłem oczy, był już dzień jasny, a ja zawinięty w skórę wilczą leżałem na wąskim łóżku Grodzisza, który stał nade mną i ciągnąc mnie za rękaw mówił: — Niech Józio wstaje, pora najwyższa, bo potem nie wyprowadzę z lasu, a jakby kogoś spotkał Józio w polu, to trzeba mówić, że na wrony wyszedł wcześnie z domu, broń Boże o lesie. — Wiem — skinąłem z powagą. — O wuja nie pytałem się, wiedziałem gdzie jest. Jakoś mi się szczęśliwie udało dostać do domu. Całkiem mnie inną drogą pan Grodzisz przeprowadził i dopiero na łąkach wypuścił. Upolowałem po

drodze jakieś dwie nieszczęsne wrony i wróciłem na śniadanie, przepraszając matkę za spóźnienie. Gdy ją całowałem w rękę, popatrzyła mi w oczy niespokojnie, a ja skinąłem z uśmiechem głową, na której położyła mi dłoń — taka była nasza rozmowa bez słów. — I nikomu dziadzio nie opowiedział tego? — zapytał Wacek. — Nikomu! — przysięgałem przecież! — dopiero pierwszym wam opowiadam — żebyście wiedzieli, że i za moich czasów dzielni chłopcy byli, choć harcerstwa jeszcze nie znali.

H. Rostafińska-Choynowska.

ZAGADKI

PRZESTAWIANKA

Podane poniżej wyrazy ustawić tak, by z początkowych ich liter powstała nazwa miejscowości w Polsce, słynącej cudami.

Wyrazy: symfonia, abażur, Jan, Nowogródek, rama, ósemka, ananas, Jan, garnek.

SYLABÓWKA

Z podanych poniżej sylab ułożyć hasło dnia.
Sylaby: pol, na jut, ski, flo, ro, sil, ta.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Marysi Jordanównie w Stanisławowie. Dziękuję za miły liścik i ładny wierszyk. Wierzyć mi się nie chce, że w tym roku zdajesz małą maturę. Ile lat my się już znamy! Zapewne list mój już odebrałaś? Buziaka Ci zasyłam, a Sz. Mamusi piękne ukłony.

Ali Wąsównie w Czortkowie przesyłam pozdrowienia. Zapewne ucieszyłaś się, że Twa karteczka była jedną z pierwszych i otrzymałaś za dobre rozwiązanie nagrodę. Napisz jak Ci się książeczka podobała? A o czym lubisz najlepiej czytać?

Sławek i Mirek Ścisłowscy z Kobrynia doskonale rozwiązali zagadni i wcześnie przysłali list, więc nagroda ich nie minęła. A jak ładnie liścik napisany, czy chodzicie do szkoły i w której jesteście klasie? Jak się Wam książeczka podobała? A który pierwszy czytał? Czy starszy, czy młodszy o 15 minut, pewno mamusia, żeby pogodzić, sama musiała Wam czytać. Napiszcie co znowu.

J. Wolańskiej ze Lwowa za życzenia dziękuję i wzajem, choć spóźnione, przesyłam.

Krystynie Kosewskiej z Warszawy za milutki liścik dziękuję, wierszyk udany, musisz się dobrze uczyć? A jak się bawiłaś na Bukowinie? Bardzo to ładnie, że się tak opiekujecie ochronką. Pozdrowienia!

A NA TYM BIAŁYM ŚNIEGU

A na tym białym śniegu
Wesoło, wesoło,
Rączkę daj lewą, prawą,
Obrócim się w koło.

Hejże ha, hejże ha!
Dobra jest zabawa ta.

Kto się w pędzie przewróci
Nic mu się nie stanie,
A na śniegu tylko ślad
Niezgrabny zostanie.

Hejże ha, hejże ha!
Dalej w koło jak się da.

Tupu, tupu nóżkami
A ciepło nam będzie,
Mróz nas szczypie w policzki
Gil na nosku siędzie.

Hejże ha, hejże ha,
Każdy nos czerwony ma.

H. R. Ch.

W ZIMIE

A kto ciepłe ma ubranie,
Brzuszek pełen co dzień ma,
Temu wcale mróz nie szkodzi,
Przyjemności zimy zna.

Lecz komu wiatr dmucha w plecy
I kto głodu mękę zna,
Temu mróz dobrze dopiecze
Dlatego jest zima zła.

Lecz się znajdzie na to rada,
Sposób dobry dajem wam:
Z biedniejszymi niech się dzieli,
Kto biedy nie zazna sam. *H. R. Ch.*

BAŁWANEK

Stoi bałwan z śniegu
W sobie podufały,
Oczy ma z węgielków
A wąs z miotły starej.
Brzuszek krąglutеńki,
Nos ze śniegu duży,
Podparł się w bok ręką
I fajeczkę kurzy.
Stójże, stój bałwanku,
Dumny z swej urody,
Aż cię słonko zmieni
W stawek pełen wody. *H. R. Ch.*

Komunalna Kasa Oszczędności dzieciom.

Może było ich trzysta, a może i więcej — bo trudno byłoby przeliczyć to mrowie dzieciarni, która w święto Trzech Króli wypełniła salę Cyrulika warszawskiego na przedstawieniu teatru Ortyma.

Dzieci grały dla dzieci. Setki błękitnych, szarych i czarnych, szeroko rozwartych źrenic z niezaspokojoną ciekawością śledziło akcję pięknej, nieśmiertelnej baśni o Kopciuszku.

Młodociana widownia reagowała żywo, oklaskiwała momenty, które trafiały do jej przekonania i przeżywała losy bohaterów bajki.

A bajka była taka cudna i pouczająca zarazem. Od ministra Dobroci dowiedziały się dzieci, że z uśmiechem na ustach należy iść przez życie, a od ministra Mądrości, że należy stale i wytrwale oszczędzać za pośrednictwem Komunalnej Kasy Oszczędności (K. K. O.).

Zasadę tę z powagą i należnym zrozumieniem wygłosił złoto włosy, rozkoszny minister, który na pewno nie przekroczył czterech lat życia. — Słowa jego wywołały nadzwyczajny entuzjazm. —

Potem odbył się sąd nad niedobrą macochą. Pan Ortym spośród dzieciarni powołał ławę obrońców i oskarżycieli. Powstał krzyk i hałas. Oskarżyciele z pałającymi policzkami domagali się surowej kary, obrońcy uniewinnienia.

Wreszcie cały trybunał z pozostałą publicznością doszedł do porozumienia i postanowił oskarżoną uniewinnić. —

Przewodniczący sądu na pamiątkę tego ważnego wydarzenia obdarował dzieci różnymi podarkami. Były tam piękne charakterystyczne lalki, zwierzęta, samochody, gry i inne cudowności.

Poza tym przy wyjściu każde dziecko otrzymało jakiś upominek. —

Dochodziła godzina 12 w południe: trzeba było kończyć tę miłą imprezę, którą dla dzieci swych klientów zorganizowała Komunalna Kasa Oszczędności pow. warsz.

W tłumie wychodzącej publiczności mały Wojtuś Z. (przyszły poeta), w chwili, gdy mamusia z trudem wciągała mu rajtuzy, ułożył następujący wierszyk:

„W pamiętnym dniu dzisiejszym przedstawienie, podarki i morze [radości
Sprawiła nam nasza kochana Komunalna Kasa Oszczędności!"

I. H.

DLA MATEK I WYCHOWAWCZYŃ

Niebezpieczeństwo sztucznego odżywiania.

Sztuczne odżywianie zawsze powoduje więcej trudności i niebezpieczeństw, niż karmienie naturalne.

Dziecko sztucznie karmione częściej jest narażone na otrzymanie nieodpowiedniego lub zepsutego pokarmu, o czym zawsze należy pamiętać i bezpośrednio przed karmieniem dziecka sprawdzić wygląd i smak mieszanki, lecz nie z tej samej łyżeczki lub smoczka.

Odporność dziecka karmionego sztucznie jest zwykle mniejsza, więc też łatwiej ulega ono wszelkim zakażeniom.

Jeśli chodzi o przybywanie na wadze, zależy ono nie tylko od rodzaju pożywienia, lecz także od pielęgnacji i wrodzonych właściwości dziecka.

Jak odżywiać niemowlę w drugim półroczu.

Po ukończeniu 6 miesięcy niemowlę przechodzi na tzw. pożywienie mieszane, które składa się początkowo z 5 posiłków mlecznych i jednego posiłku bez mleka.

Następnie stopniowo staramy się dziecku urozmaicić dietę, aby nie była ona zbyt jednostajna, a także nie zawierała za dużo mleka.

W IV kwartale dziecko zwykle otrzymuje trzy posiłki mleczne i 2 do 3 posiłków bez mleka.

Jak podawać dzieciom owoce.

1) Niemowlęta do 6 miesięcy otrzymują surowe soki z cytryny lub pomarańczy.

2) W drugim półroczu niemowlęta otrzymują poza tym skrobane jabłka, banany.

Surowe truskawki mogą wywołać silną biegunkę, dlatego należy je dawać b. ostrożnie, najlepiej gotowane.

3) Dzieci w drugim roku życia mogą już jeść surowe owoce i jagody w nieco większej ilości.

Aby owoce nie zaszkodziły należy:

4) podawać je czysto wymyte gorącą wodą lub obrane,

5) dawać w małych porcjach jednorazowo,

6) jeżeli dziecko ma skłonność do rozwolnienia, najlepiej dawać owoce gotowane,

7) jeśli dziecko źle trawi, lepiej dawać tylko sok, wyciśnięty ze świeżych owoców,

8) aby poprawić smak niektórych soków możemy dodawać cukru.

Jak odżywiać dziecko chore.

Przy wyborze pokarmów dla dziecka chorego nie powinniśmy zapominać o jego zdolności trawienia: im ta zdolność jest mniejsza, tj. im gorzej żołądek pracuje, tym ostrożniej trzeba odżywiać, aby dziecku nie zaszkodzić.

Z obawy, aby dziecko nie zmizerniało nigdy nie należy w takich chwilach dobierać pokarmów bardzo pożywnych, ale trudnych do strawienia, jak tłuszcze, jaja, mięso i tp.

Przeciwnie, należy wybierać pokarmy łatwe do strawienia, aby dać żołądkowi czas i możność do odzyskania normalnej sprawności. Dopiero wtedy można przejść na normalne odżywianie.

Dr med. Z. Lamentowski.

OPŁATEK WIGILIJNY W STOWARZYSZEN KOBIET PARAFII P ASECZNO

W dniu 27 grudnia ub. r. w świetlicy chyliczkowskiej staraniem Stow. Katolickich Kobiet odbył się tradycyjny opłatek.

Opłatek odbył się tylko w ścisłych ramach Stowarzyszenia Kobiet. Wszystkie członkinie stwierdziły, że taka uroczysta chwila jak łamanie się opłatkiem, skupienia się w sobie stowarzyszonych, stworzenie atmosfery jednej wielkiej rodziny, może odbyć się tylko bez udziału innych St. Akc. Kat. Więc uroczystość dzielenia się opłatkiem udała się nadzwyczajnie. Śliczna choinka ubrana biało z jarzącymi się świeczkami na tle skromnych, bielonych ścian, ubranych choiną, wyglądała prześlicznie. Sam fakt dzielenia się opłatkiem z przewodniczącą p. Wyczółkowską, która z powodu choroby długo nam nie przewodniczyła, był nadzwyczaj uroczysty i serdeczny. Po odśpiewaniu kolęd, z których jedna „Cudna noc, święta noc" wprowadziła nas słuchające w odległy, zaczarowany świat: gwiazda betlejemska, jarząca się na niebie nad szopą z Dzieciątkiem Jezus, śpieszący pastuszkowie, a w dali pustynia i przez nią kroczące poważnie wielbłądy z królami. Pieśń się kończy, widzenie znika, a szkoda, bo było tak piękne. Zasiadamy w półkole i zaczyna się miła pogawędka, przeplatana zajadaniem smakołyków, przygotowanych przez nasze gospodynie stowarzyszone. Nagle miła niespodzianka, którą urządziło nam Kat. Stow. Żeń., bo oto na salę wpadają cztery pary: krakowiacy, górale, mazury, białorusini i dziarsko przyśpiewując tańczą swe ludowe tańce. Oklaski niemilknące są dowodem, że młode dobrze się spisały. A potem nasze członkinie, trzeba przyznać, że niektóre mają i to wybitne zdolności sceniczne. Na estradę wkracza przekupka krakowska z koszem i wygłasza dowcipny wierszyk, przeplata go odpowiednimi gestami, a nagrodzona oklaskami znika.

Za chwilę wchodzi para małżeńska, wspaniale ucharakteryzowana, mąż pijak w dzień wigilijny upił się, żona robi mu wymówki, a cała rozmowa kończy się tym, że pijak ojciec mówi, że do nieba łatwiej się będzie dostać jego dzieciom bosym i obdartym. Na koniec już tej uroczystości wpada zdyszany ksiądz wikary, przeprasza, że tak późno, ale nie mógł tak był zajęty (ksiądz proboszcz chory). I znów trzeba przed księdzem powtórzyć tańce, wierszyk itd. Rozchodziłyśmy się do domów z uczuciem wielkiej radości i dumy, że co rok nasze Stowarzyszenie więcej się zespala, pracuje intensywniej i z pożytkiem tak dla Kościoła jak i Ojczyzny. *Helena Geysztorowa.*

Redaktor: Dr Józef Zawidzki. Wydawcy: Stow. Mis. Księży Pallotynów.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

KRÓLOWA ZIMA...

SZARADA

Przybyła **szósto-piąto** królowa —
raz-siedm zaklęta w kryształy.
Na niej **pięć-trzecia** szata puchowa
skrzący się szronem strój cały!...
Jak **biała wtóra-szósta** jedwabna
cudnie faluje tunika...
Siedm-czwarta dóbr jej nader jest ładna,
choć mróz dotkliwie przenika...
Asysta owej cudnej królowej
z **czwór-pierwszych** kilku się składa:
ujarzmia jeden wichry surowe,
ten rzeźbi, ów śniegiem włada.
Lecz **druga-trzecia** moja mizerna,
by cuda opisać one,
gdyż tło zimowe, rzeźba misterna
jest arcydziełem skończonym!...

„Rex" (Kl. Sz.).

NIE Z KIELICHÓW...

SZARADA

Jak poematu białe karty
kolumną liter wejdą w serce,
zostawią ślady niezatarte,
tęsknotę życia wśród uśmierceń.
Tak każdy **piąty** od stuleci
bezbarwne życie skraca co dnia —
i beznadziejnie naprzód leci
i nie zagubi się w tygodniach.
I **czwarty-piąty**, jak nazwisko,
jest wypisany w księdze zdarzeń —
trzy-pierwsi ludzie są już blisko,
jak wyszłe z druku kalendarze.
Trzy-czwarty dzień się w słońce wpatrzył,
jak gdyby jeden **drugi** miało —
dzień wielkich zabaw bywał rzadszy,
nikomu bawić się nie chciało.
I czasem **jeden-drugi** gromki
wystrzelał w niebo jak rakieta —
i nie z kielichów — lecz przez słomki
pito **raz-trzecie** na bankietach.

„Tońko" (Kl. Sz.).

ZAGADKI - SZUFLADKI

1.
Li jedno tylko pomoże,
że **waza** stłuc się nie może.

2.
Tu, gdzie zaświtał mi **dnia początek**,
ufam, że znajdę **pomocy wątek**.

3.
Tu, wśród **balkonu**, nikt nie zaprzeczy;
że jest to **rodzaj** u każdej rzeczy.

4.
Barwna papuga, lecz z **sędzią tureckim** —
szczęsny zakątek to w państwie za pieckiem.

5.
Byłaby **królowa**, gdyby nie „**oni**" —
a tak jest **miasto na włoskiej błoni**.

6.
Obsiadły **rów** i jego **boki** —
niechże ten zbiera, co lubi soki.

7.
Z talii wybrana, literka w nią wiezie:
jasnego pana z **paradą** wiezie.

8.
Mała panna Ania, po prostu **atom**:
warta studiowania, **znana eskulapom**.

9.
Literą **granicą** oni
od **zwierza, co fika i goni**.

10.
Kto chce rządzić narodem, zaraz się **potyka**,
li tylko jest **powodem**, że dostaje **pstryka**.

(Wyraz jeden wsunięty w drugi, jak „szufladka" — tworzą razem wyraz trzeci do odgadnięcia. Wyrazy są albo już podane, albo należy je z określenia odgadnąć).

Dr J. Kadyi.

W TEMPIE FOXTROTA...

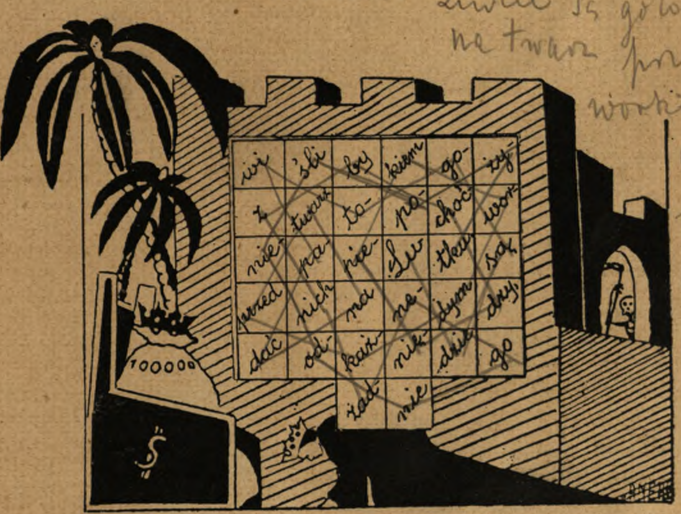
SZARADA

Wtargnął karnawał za Nowym Rokiem,
wnosząc **raz** sobą wesela moc,
w tempie foxtrota sunie się krokiem,
nie dając ludziom wytchnienia w noc.
Raz-dwa i **siódma**! W rytmie melodii
wirują goście **czwór** tanga „pas"...
Pięć-sześć *) orkiestra, rożek zawodzi,
saksofon wzdycha i sarka bas!...
Jak **szósta-siódma** sala ogromna
nie **półdwa-pięćwspak** tańczących par...
Trzy-ósmy-czwarty uczucia... skromna
rozmowa... Flircik i spojrzeń czar...
Satyr karnawał, więc maskarady
i **wtóre-ósme** wokoło wrą...
Nim zgasną gwiazdy i księżyc blady,
goście mazura białego tną!...

„Rex" (Kl. Sz.).

*) Szósta.

KONIKÓWKA



Ruchem konika szachowego należy odczytać 17-wyrazowe rozwiązanie (sentencję B. Prusa).

„Anerg" (Kl. Sz.).

SZARADA KARNAWAŁOWA

Kto nie jest wiekowy, jak **Czwór-raz-wspakpiąty**,
w dni karnawałowe rzuca własne kąty
i śpieszy z uśmiechem lub maską na twarzy
na bal lub do knajpki — jak komu się zdarzy.
A tam już bezładna i nie **druga-trzecia**
rzesza arlekinów, paziów i rycerzy,
albo nawet panów ubranych „z waszecia":
gra, tańczy, w bufetach spustoszenie szerzy.
Choćbyś pić dziś nie chciał, przyjaciel ci wina
trzy-pięć-cztery kielich, po czym kolombina
do tańca zaprasza, kusząc cię jak nimfa.
Rano sił wyzbyty, wyłuskany z tynfa,
niby **raz-wspakwtóry** po bezkresach morza,
suniesz chwiejnym krokiem, nim trafisz do łoża...

„Dziadek z Bakszty" (Kl. Sz.).

LECZ CÓŻ Z TEGO?...

SZARADA

Żem nie **pierwszy-drugi-pierwszy**,
to nie wasza **trzecia-czwarta** —
mogłem mieć też czasy lepsze
i radosną życia kartę.
Dusza ma **czwór-wspaktrzy-czwarta**
mnie widziała szczęśliwego...
Ku karierze drzwi otwarte...
Składy pełne... **trój-czwartego**...
Lecz cóż z tego? Jam zgrzybiały,
brak mi sił do polityki —
a że jestem i nieśmiały,
od władz miałbym wciąż... przytyki.
Miast podzięki, miałbym... sądy.
(Z szczęścia życie dziś nie słynie).
Własne za to mam poglądy
na procesy takie... w Gdyni.

„Sfinks" (Kl. Sz.).

Za rozwiązanie powyższych zadań (nawet jednego) przeznacza Redakcja do rozlosowania **nagrody książkowe**. Termin nadsyłania rozwiązań zadań **trzytygodniowy**.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU GRUDNIOWEGO

Szarada: **Jezus malusieńki leży nagusieńki.**
Szarada: **Pozytywista.**
Konikówka: **Życie jest bojowaniem; człowiek przez świat musi przeciskać się, bo mu nikt nie ustąpi. Tak pisze Bolesław Prus.**
Rebus: **Podróżnik Nowak zakończył żywot.**
Szarada: **Pamiętam ciche, złote dnie.**

Nagrody książkowe otrzymują: **p. Stanisława Targowska z Gdyni i p. Maria J. Oranowska z Warszawy.**

WIECZORY ZIMOWE

najmilej spędzają szaradziści przy **„ROZRYWCE"**. Numer 61 (styczniowy) opuścił już prasę. Prenumerata kwartalna **tylko 2 zł.** Adres: **Klub Szaradzistów, Warszawa, Żulińskiego 7 m. 10. Tel. 7-06-99.** Żądajcie numerów okazowych! — Tamże do nabycia **„Tablica alfabetów chorągiewkowego, Morse'go i palcowego**, po cenie **50 gr.**

M. Sł. (Kl. Sz.).

HUMOR

DOSKONAŁY SPOSÓB

Młoda dama wybiera w sklepie buciki. Usłużny sprzedawca trafił wreszcie na parę, która klientce odpowiada.

— Wezmę je — mówi dama — ale jestem pewna, że przynajmniej trzy dni będą mnie nogi bolały.

— O, jest na to sposób — woła sprzedawca — niech je pani dobrodziejka odstawi i włoży dopiero dnia czwartego.

DWAJ ŁGARZE

W jednym z pułków stołecznych, szeregowiec Matusiak melduje się u podoficera i oznajmia, że chciałby stanąć do raportu w sprawie urlopu.

— Urlop? Mieliście niedawno. Po co wam znowu?

— Żona pisze, że beze mnie nie da sobie rady. Sprawy rodzinne.

— Nie wierzę. Miałem wiadomości z waszego miasteczka, że żona czuje się doskonale.

Chwila milczenia, po czym żołnierz odzywa się nieśmiało:

— Czy mogę panu coś powiedzieć, panie kapral?

Bardzo proszę.

— W tym pokoju są dwaj łgarze, gdyż ja wcale nie jestem żonaty.

BRYDŻYSTA

Lekarz chorób dziecięcych G. jest zamiłowanym karciarzem. Pewnego wieczora wezwano go wprost z brydża do dziewczynki chorej na dyfteryt.

Doktor bada przede wszystkim puls.

...sześć, siedem, osiem, dziewięć, walet, dama, król!

UTRAPIENIE

Do redakcji przychodzi poetka od siedmiu boleści i zwraca się do redaktora:

— Panie redaktorze, kto to jest ten pan z piękną czupryną, co przed chwilą wyszedł z pańskiego gabinetu?

— To poeta, kolega pani po piórze.

— Ach, tak? Czy być może?

— A tak, jego utwory poszły również do kosza...

PRZEWIDUJĄCA

— Kasiu, czy kręciłaś coś w barometrze?

— Tak, proszę pani, nastawiłam go na pogodę, bo jutro mam wychodnię.

ZJAZD GWIAZD

Podczas pobytu w Hollywood, Einstein został zaproszony do Mary Pickford i był zachwycony jej urodą i wdziękiem.

— Kto to jest właściwie ta Mary Pickford? — spytał jednego z gości.

Zapytany, z trudem powstrzymując śmiech, udzielił mu informacji, po czym powtórzył słynnej aktorce przebieg rozmowy z wielkim uczonym.

Mary Pickford potrząsnęła z politowaniem głową.

— Nie, doprawdy, ci ministrowie hitlerowscy! Gdy tylko nie chodzi o politykę, nie mają o niczym pojęcia!...

EGZAMIN

Kandydat zdaje egzamin doktorski.

— Niech mi pan wyliczy środki napotne — mówi profesor.

Kandydat wylicza ważniejsze.

— No, a jeśli te nie pomogą?

— Wówczas przyślę chorego na egzamin do pana profesora!

SZLACHETNE ZDROWIE...

Pan Łykalski był chory i w momencie, gdy mu się bardzo pogarszało, doktor polecił mu pić kawę z koniakiem. Po kilku dniach odwiedza go przyjaciel.

— No, i jak się teraz czujesz? Lepiej?

— Owszem, nieźle!

— A kawę z koniakiem pijesz?

— Z koniakiem tak, ale bez kawy...

ZŁOŚLIWY

Starszy junak, cwaniak, co to nie z jednego pieca chleb jadał, rozmawia ze starszą panną, nie bardzo grzeszącą urodą. Panna stara się być miłą w rozmowie. Zaczyna się chwalić:

— Przed kilku laty mało co brakowało, a zostałabym porwaną.

— Junak: — Tak, tak, nie wiem przez kogo, chyba tylko przez orkan, lub silny wiatr.

IMPERIALISTA

W szkole japońskiej nauczyciel pyta ucznia:

— Pokaż mi na mapie granice naszego potężnego państwa.

— Nie mogę, panie profesorze.

— Jak to nie możesz? Dlaczego?

— Bo nie czytałem jeszcze dzisiejszych gazet.

ZAMÓWIENIE

Dwaj panowie wchodzą do małej kawiarenki. Zbliża się kelnerka.

— Co panowie pozwolą?

— Dla mnie jajecznica.

— A dla pana?

— Też jajecznica, ale żeby była ze świeżych jajek.

— Już się robi!

Kelnerka idzie do kuchni i woła:

— Dwa razy jajecznica! Raz ze świeżych jajek!

WSPÓŁCZESNA PANNA

Panna Ela skończyła właśnie osiemnaście lat. W dzień jej urodzin matka woła ją do siebie i mówi:

— Moja droga, jesteś już dorosłą panną. Niedługo masz wyjść za mąż. Chciałam więc z tobą pomówić o pewnych drażliwych, intymnych kwestiach...

— Dobrze! — odpowiada panna Ela. — A czego mama pragnie się dowiedzieć?

ROZTARGNIONA MASZYNISTKA

Szef dyktuje list. Wtem maszynistka zapytuje:

— Przepraszam pana dyrektora... Zdaje mi się, że między słowami „Szanowny panie", a „z poważaniem" pan dyrektor też coś powiedział?

MĄŻ NIEAERODYNAMICZNY

— Gdybym wiedziała, że teraz będą robić takie szybkie samochody, to bym nigdy nie wyszła za mego obecnego męża!

— Dlaczego?

— On ma takie odstające uszy, że nigdy nie możemy prędko jechać pod wiatr!

WRAŻLIWA OSOBA

Pewna dama zwiedzała obserwatorium astronomiczne. Gospodarz obserwatorium, uczony astronom, pokazał jej przez teleskop Marsa i powiedział:

— Niech pani zwróci uwagę, że przez teleskop widać kanały na Marsie... Mój teleskop jest wprost cudowny! Nadzwyczajnie zbliża!

— To ja wolę nie patrzeć... — mówi dama.

— Dlaczego?

— Bo nie chcę być za blisko kanałów... Ja jestem taka wrażliwa na przykre zapachy! — i dama przykłada do nosa naperfumowaną chusteczkę.

NASZE DZIECI

— Ojcze, co to są niedyskretne pytania?

— Pytania, na które nie można odpowiedzieć.

— Nasz nauczyciel stawia w takim razie dużo pytań niedyskretnych.

WZAJEMNY PODZIW

— Mój mąż podziwia we mnie wszystko: figurę, cerę, rysy twarzy, głos, włosy...

A co pani podziwia w mężu?

— Jego dobry gust.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 1/4 — zł 200, 1/8 — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	6 zł.	Czechosłowacja	35 kor. cz.
Niemcy	4 Rmk.	Ameryka	2 dolary
Francja	23 frank.	Inne kraje	6 fr.szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.

Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa 1, Krakowskie Przedmieście 71 — Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.